Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1883. Rok VI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

DO TARCZY O PANNĘ.

Fraszka myśliwska w dwóch aktach

PRZEZ

Karola Brzozowskiego.

(Ciąg dalszy.)

STANISŁAW. Wiesz, mówiąc między nami, czuję słów twych słuszność,
Dziwaczny kaprys, wolną niby dawać wolę —
Wstyd mnie — a ścieśniać przytem tak wyboru pole.
Wstyd! wstyd! toć to zaślepła jakaś małoduszność.
IGNACY (ściskając rękę Stanisława).
Alboż skarby twej duszy dla mnie tajemnicą?
Wiedziałem, że rozumu raz rzucisz źrenicą,
A im wcześniej, tem lepiej, bo sam bracie powiedz,
Coby to za nieszczęście...
STANISŁAW (z żywością). Co? Adam nie łowiec?
IGNACY (z uśmiechem). I skądże znowu takie nagłe podejrzenie?
Mówiłem, że myśliwy i zdania nie zmienię,
Lecz to pewna, że straszny cios spadłby na ciebie,
Gdyby nie był myśliwym.
STANISŁAW. Wszyscy Święci w niebie
Obrońcie mnie od tego!
IGNACY (na stronie). Małom się nie zdradził!
STANISŁAW. To byłby grzech twój, tyś go jak strzelca wprowadził.
(Na stronie.)
Jeśli dał mu tę rolę, niech gra po mistrzowsku,
Ja dam się wywieść w pole, w tem me ocalenie.
Lecz z Damazym, Antonim, rzecz wisi na włosku.
(Słychać trąbkę myśliwską.)
A to czyja jest trąbka? czyje to zadęcie?
Wśród muzyki ogarów, w trąb głosie, w zamęcie
Powiem ci, czyja nuta jaśniej się wygrywa,
Skąd dźwięk ten srebrny, pewny? co za dzielne płuca!
Kto tę kaskadę tonów jak król puszczy rzuca?
IGNACY. Rzecz prosta, że pan Adam.
STANISŁAW. Ha! czoło uginam.
Że to łowiec, ja myśleć na seryo zaczynam.
O biedny pan Damazy, biedny pan Antoni!
Słysząc mistrza, Ignacy, co tam myślą oni?
IGNACY. Klną w duszy i myślą w zazdrości po cichu,
Że trąba rozwala ich zamki Jerychu.
(Słychać pierwszego ogara.)
STANISŁAW. Słyszysz? Jak zawsze pierwsze dał hasło na oko
Dobosz, teraz przypadnie Lutnia swym zwyczajem,
W końcu Torba i Zagraj, zwykłe chodzić skrajem.
A co? orkiestra w pełni! To lis nad osoką!
Grając mu grają! Lis, lis! sadzi na szuwary,

Słuchaj! teraz strzał padnie stąd, gdzie wiąz ów
stary.
Stanowisko to pewne, zna je pan Antoni,
Zna i Damazy... Cóż to? Czy oślepli oni?
Czy strzelby ich zawiodły? Przez bomby, kartacze!
Psy już grają w szuwarach... Partacze, partacze!
Że pan Adam nie strzelił, nikogo nie zdziwi,
Lecz tamci dwaj młodzieńcy, miejscowi myśliwi
Niechajże mi darują... Toż to nie stracona!
Bo grają, aż tu echo gdzieś przy gumnach kona.

IGNACY. A wiesz, bracie, to nawet w mojej duszy śpiewa.
Jest w tem harmonja, widzę, że to was zagrzewa.
Vivat muzyka! Julciu, daj lampkę madery.

(Julia nalewa dwa kieliszki.)

STANISŁAW. To mi kwartet wspaniały! Nigdy głosów cztery
Nie zlało się tak cudnie. Co jenerałbasy,
Kontrapunkty! Posłuchaj Bachu ty sławiony,
Czyś stworzył jak ta fugę? Ha gromy! ha dzwony!
Ciszej, ciszej me serce! Minęły już czasy,
Gdym przy grze takiej hulał przez lasy, moczary,
Góry, wąwozy — uśnij serce w piersi starej.

(Bierze czarkę.)

Zdrowie młodzieży. młodzi niech rosną myśliwi,
Niechaj przyszłość się nasza w ich łowach odżywi!

IGNACY (do Julii). Twoje Julciu serduszko nic nam nie odpowie?

STANISŁAW. Pójdź dzieweczko, w mej czarce umocz ust
twych róże.

JULIA (całując rękę Stanisława).
Długie, długie wam lata, kochani stryjowie!

STANISŁAW. Cóż u kata! Z moczarów psy przeszły na wzgórze?
Nikt nie strzelił!

IGNACY (podchodząc do Julii). Odemnie kroplę, dziecię złote!

(Na ucho do pijącej.)

Dobrze idzie, rozumiem, toż palnął im psotę!
Pamiętaj! kroków dwieście, zwyczajne kniejówki.

STANISŁAW. Co fizyk ci do ucha uśmiechnięty kładnie?
Ej ostrożnie, bo widzę buziaka ukradnie.

JULIA. Sto zań z ust twoich stryju przemocą odbiorę.

(Biegnie i całuje go kilka razy.)

STANISŁAW (niby się broniąc).
Idź trzpiocie się ubierać.

(Julia odchodzi.)

Wprost do Marynówki
Walą psy ku wąwozom. Wpakuje się w norę,
Nor tam pełno, gdzie jawor wielki, rosochaty.
Nie strzelby wam partacze, łopaty, łopaty!

IGNACY (powraca pod ścianę, poprawia bluszcz i wbija jeszcze parę ćwioczków.)

Patrz teraz, Stanisławie, czy mur gdzie się bieli?

STANISŁAW. A prawda, i wygląda to zaraz weselej.

IGNACY (na stronie). Nie dojrzą, choćby oczy ostrowidzów
mieli.
(Głośno.) A teraz o piwnicy czas pomyśleć, bracie.

STANISŁAW. Przyprowadź z kilka węgrów w starożytnej szacie.
Bo wiesz, będzie kanonik.

(Ignacy odchodzi.)

SCENA V.

Stanisław, później kanonik, Julia, Ignacy, w końcu myśliwi.

STANISŁAW (sam). Wyraźnie lis w norze!
Cicho, jak makiem zasiał. chwalić się nie może
Młodzież takim finałem. Śmiać się będę stary!

(Zamyśla się.)

Śmiać się, śmiać! Julci wesołość udana,
Te szepty jej z Ignacym od samego rana,
Kłopot na twarzy usiadł i mojemu bratu.
Czuję, widzę, w ich ręku ostatnie drży atu.
Bóg świadkiem, zmrużę oko — ale tamci młodzi?
O mojem także słowie radzić nie zaszkodzi.
Strzelcem ma być mąż Julii — i słowa dotrzymam,
Alboż na to żadnego sposobu już nie mam?

(Pisze.)

„Daję na to mój podpis i honoru słowo,
Zawsze będę miał gończych czwórkę doborową,
I w dzień Bartłomiejowy co rok osobiście
W kniei mojej otworzę łowy uroczyście."
Choćby mnie oszukali, postawię na mojem!
Cóż to? czy ja się mylę? Tam, za trzecim zdrojem
Niby piesków głos jeszcze. Ha! trzymają panie!
Wracają, o wracają! Jakie wściekłe granie!
Jadą jakby po sznurku, coraz bliżej, bliżej...

(Wpada kanonik z podkasaną sutaną zadyszany.)

KANONIK. Strzelby, strzelby!

STANISŁAW (wskazując ręką pokoje).
Tam moje wszystkie i nabite!

(Ksiądz wpada do pokojów.)

STANISŁAW. Czy szturmem psy tu idą?

(Ksiądz wybiega ze strzelbą.)

Ta kniejówka niży,
Przestrzegam.

KANONIK (biegnąc). Brać po wierzchu.

STANISŁAW. Coż tu wiedzie kitę?
To lis! znać go po chodzie, lecz zbity już z tropu,
Teraz idzie przez chmielnik prosto do okopu.
Pięknieście się spisali moi strzelcy młodzi,
Czy to nie wstyd? Sutana wszystkich was pogodzi!
Strzelba dawno nabita, czy tylko wypali?
Już w sadzie!

(Psy wpadają między wazony kwiatów.)

A duch wszelki Pana Boga chwali!
Ratuj Julciu, Ignacy, szkoda mi balsamin!

(Julia i Ignacy nadbiegają.)

Patrzcie, a to mi piękny składacie egzamin!
Wściekła się chyba psiarnia!

(Psy pędzą dalej.)

IGNACY. Przeszła jak uragan.

JULIA (śmiejąc się). Nie wiele złego..

IGNACY. Jeden złamany astragan.

STANISŁAW. Odetchnąłem!

(Wchodzi kanonik, rzuca kapelusz, stawia strzelbę i pada zadyszany na fotel obok Stanisława.)

Cóż to jest? powiedz, kanoniku.

KANONIK. Alboż wiem, skrzat tam jaki skrył się w gołębniku?
Psy na słup się wdzierają, połamią pazury.
Co za heca!

IGNACY (śmiejąc się). Ot, kuna musi być lub szczury.

JULIA (podchodzi z tacą do kanonika).

Lód, sok berberysowy, woda i madera.
Niech tylko przewielebny pospiesznie wybiera,
Bo widzę na wyścigi poszło się z gończyma,
Pędziło się, że prawie tchu już w piersi nie ma.
A cóż to, przebóg, z waszej stało się sutany?
IGNACY. A prawda!
STANISŁAW. Cha! cha! cha! cha!
KANONIK (pijąc). Wbiłem się w łopiany
I w dziadowskie widłacze. Ale trudna rada,
Gdy takim głosem w ucho psów koncert zagada,
To odpuść Panie duszy, przy ołtarzu, kto wie,
Czybym w modle nie chybił!
STANISŁAW. Niech prałat opowie
Jak to było?
KANONIK. Ot jadę, aż słucham, w wąwozie
Taka gra, że zaledwie wysiedzę na wozie.
Żal serdeczny mnie ścisnął, żem nie miał rusznicy.
Nagle uzdy wypadły i z ręki woźnicy:
„A czy widzisz jegomość, jak gonią przez bielnik!“
Więc pomyślę, zwierz pójdzie przez chrusty i chmielnik,
A więc z bryczki na przełaj, przez chwasty, łopiany
Wpadłem tu i napowrót pędzę zadyszany.
Zdołałem przeciąć drogę, stoję na przesmyku,
Wali psiarnia wprost na mnie, ha! myślę, mój ćwiku!
Mam cię, mam... ale krótka radości mej chwila,
Późnom przybiegł.
STANISŁAW. Prześlepił, powiedz kanoniku!
KANONIK. Co? prześlepił? Czy lis mi zmienił się w motyla?
Lub porył kretem?
IGNACY (śmiejąc się). Jakieś stały się tu dziwa.
JULIA. A wszystko się skończyło wywrotem kwiatarni.
STANISŁAW. I szturmem gołębnika.
GŁOS Z ZA SCENY. We łby całej psiarni!
IGNACY. Czy słyszysz, Stanisławie, jaki wyrok krwawy?
KANONIK. Nie wiele zda się z łowów dziś wynieśli sławy.
IGNACY. O, biedny kucharz, nie w smak będą im potrawy.
KANONIK. Zobaczycie, śmiać bądą z mojej się sutany,
Widzieli, jak przez rowy'm sadził podkasany.
(Wyrywa z poły szyszkę łopianu.)
Jakby wmurował w sukno, przeklęte widłacze!
O, był tam rów, lecz jeszcze niezgorzej się skacze.
GŁOS Z ZA SCENY. A pan Damazy?
DRUGI GŁOS. Nic mu się nie stało,
Pan adwokat z chmielową wnet doskoczył tyką.
IGNACY. Jakąś się widzę kończą łowy gimnastyką.
(Do Julii na ucho.)
A co? to wszystko pięknie dotąd się udało.
STANISŁAW. Nim się młodzież przebierze, partyjkę, prałacie,
A przy grze i o twojej pomyśli się szacie.
Ignacy, przyślij w pomoc nam dzieciaków dwoje,
I młodzież niech tam długo nie bawi się w stroje.
A ty Julciu kochana, nim oddasz twą rękę,
Pożycz mi dziś jej jeszcze, pójdź trzymać mi karty.
JULIA (siada przy stryju). Czy w pikietę?
IGNACY (odchodząc rzuca oko na ścianę). I dobrze, wszelki ślad zatarty.
KANONIK. Nie, nie, w maryasza.
STANISŁAW. Prawda, dziś gra o panienkę.
Kto daje?
KANONIK. Młodsza. Wiedziałem z góry, kolatorze,
Że ty — i chcesz, to jeszcze z góry się założę,
Że ta piękna ci rączka panfila wyświeci,
O szóstce nie ma mowy, jak na zawołanie.
Z królem, dyską i tuzem na mój pogrom stanie.
(Wchodzą dwie dziewczynki.)
A co, czy nie panfil? (Do dzieci.) Siadajcie tu, dzieci,
Wyskubać mi to czysto, a dam po obrazku.
DZIEWCZYNKA (do towarzyszki). I po groszu, bo patrzaj, tu szyszek jak piasku.
KANONIK. I po groszu. A, widzę pięknie się zaczyna:
Tuza grają, ni bić czem, ani co odrzucić,
I nie brać, jeszcze dodać, to mi wbili klina!
(Stanisław śpiewa.)
Ha! jest dubla napięta! zaczynają nucić.
STANISŁAW. Ze czterdziestu!
KANONIK (łapiąc się za łydkę). I szczypią!
DZIECI. To tak twardo siedzi,
Księżulku, nieumyślnie!
(Antoni i Damazy wchodzą.)
STANISŁAW. Witajcie sąsiedzi!
DAMAZY i ANTONI. Dzieńdobry pani.
JULIA. Widać z wesołego lica,
Że świetnej dziś panowie użyli zabawy,
Słuchając, stryj aż rosnął.
STANISŁAW (na stronie). Żartuje psotnica.
ANTONI. Prawdę mówiąc...
DAMAZY. Ot jakoś...
STANISŁAW. Ależ było wrzawy!
DAMAZY. Jak to? widzę prałacie dwa tylko dziewczątka,
Tu wsi całej potrzeba.
KANONIK. Pewno, lecz nie prątka,
Czy tam tyki chmielowej.
STANISŁAW (śmiejąc się). Co, tyki chmielowej?
Cha! cha! cha! Coś słyszałem, lecz z tyką na łowy?
To jakiś był przypadek nadzwyczajnie rzadki.
Cóż dziwnego? przeróżne bywają wypadki,
I w tem właśnie jest urok strzeleckiego życia,
Choć tyle poznaliśmy, ileż do odkrycia!
Knieja dobrze poznana jest jak szachownica,
Nieodmienne ma działy, pola, barwy lica,
A jednak gry pochodów, ataku, obrony,
I ogniw myśli — jaki łańcuch nieskończony!
Któżby szachów nie rzucił, gdyby jedne maty
I te same u jednej dawały się kraty?
Ze strzelców ktoby rozkosz i w kniei znachodził,
Gdyby lis, szarak, niedźwiedź jedną ścieżką chodził,
Gdyby strzałem jednakim padał ugodzony,
A psiarnia w całym świecie w jedne grała tony?
(Wchodzą Adam i Ignacy.)
Lecz oto i pan Adam — siadajmy do stołu.
ANTONI (do Damazego). Na chwilę się z twojego wydobyłeś dołu.
ADAM (po powitaniach daje kwiaty Julii).
Oto z dzisiejszych łowów zdobycz moja cała!
Gdy psiarnia w topieliska, trzciny mnie zagnała,
By nie powrócić z niczem...
JULIA. Co za śliczne kwiaty!
Wiedział pan, że je lubię? O, jaki pan grzeczny.
Ale to podarunek trochę niebezpieczny.
ADAM. Jak to pani?

JULIA. Może panu przynieść straty.
ADAM. Jak to?
JULIA. A gdzież łowieckie, proszę, namaszczenie?
Ten bukiecik o panu złe robi wrażenie,
Ot proszę, co powiedzą oto ci panowie,
Mistrze łowów, więc przeto surowi sędziowie,
Gdy psy grają na zabój, gdzieś w kwiatach się zgubić
I myślić, że ktoś może niezabudki lubić.

DAMAZY (do Antoniego). A co, czy ty poczułeś ukłucie żądełka,
Którem każda tych ząbków zbrojona perełka?
KANONIK. Do mnie przynajmniej żadne żądełko nie strzela,
Dzięki niebu, przyniosłem przeróżnego ziela.
IGNACY. Anyżek, kalmusówka, nalewki i starka...
W ręce prałata, w kolej niechaj idzie czarka,
I do stołu panowie!

(Zasłona spada.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z DZIEWICZEGO KRAJU.

PRZEZ

Władysława Czaplickiego.*)

(Ciąg dalszy.)

VIII. Zwierzyna i ptactwo.

Syberya, dziewiczy ten kraj, posiada zaprawdę tyle zwierzyny i ptactwa, że żaden na świecie kraj nie może pod tym względem równać się z Sybirem. Grubsza jednak zwierzyna kryje się po największej części w samej już głębi tego lesistego morza, w samej głębi dlatego już niedostępnych dla ludzi tajg, że żywność i inne do życia niezbędne przedmioty, wiezione na objuczonych koniach, byłyby niedostateczne, a następnie, że konie nawet bez juk, bez ciężaru, nie zawsze zdolne są przejść te miejsca, jakie przejść może i przejdzie przemyślny człowiek. Dłuższy nareszcie, n. p. choćby tylko jednomiesięczny pobyt w chłodniejszej, wilgotnej i po większej części stęchlizną ziejącej tajdze bez pomieszkania, narazićby musiał na choroby, które bez wątpienia sprzątnęłyby ze świata każdego, kto do podobnego życia nie był przyzwyczajony od dzieciństwa. Robotnicy w kopalniach złota przebywają wprawdzie i dłużej, bo po 4 a nawet i 5 miesięcy, ale przy robotach tych wszelkie mają wygody, formalne baraki, jak domy, pościel, żywność pożywną, tytoń, wódkę, herbatę, a nawet lekarza i aptekę. Mimo tej trudności, mieszkańcy Syberyi czynią wyprawy w głąb 14stodniowe, a nawet i dłuższe, ale nie zapuszczają się dalej jak 100—120 wiorst w głąb tajgi, nigdy jednak takie wyprawy nie bywają przedsiębrane bez krajowców pierwotnych, a przynajmniej bez Tatarów, pierwsi bowiem wychowani w tajgach, drudzy zaś jako namiętni myśliwi, więcej niźli Rosyanie obznajomieni są z tajgami. Otóż wracając do treści zapowiedzianej nagłówkiem niniejszego rozdziału, należy powtórzyć mi zaraz na wstępie, że Syberya kryje w swem łonie niesłychane bogactwo zwierzyny i ptactwa, rozumie się nietylko w tajgach, ale zarazem po polach i w domu. Zdaje się, że będzie właściwem zacząć od zwierząt domowych. Każdy obywatel-gospodarz w Syberyi — nie ma tam bowiem chłopów, tylko „graždanie“ (obywatele) — posiadający dom, ma równocześnie tyle pod uprawę roli tudzież łąk, pastwisk i lasu, ile mu potrzeba, i sieje tam gdzie mu się podoba, rozumie się więc, że i odpowiednią ilość koni, bydła, trzody i owiec. Jeżeli wiejski gospodarz sybirski, osobliwie w niektórych okolicach, posiada 300 krów, 300 koni, 1000 owiec i 30 do 50 albo i 100 sztuk trzody, wcale nie liczy się jeszcze do gospodarzy bogatych, są bowiem tacy, którzy mają bez porównania więcej. Co do koni i owiec, najwięcej mają ich Tatarzy, co zaś do bydła i trzody, te hodują przeważnie a raczej tylko Sybiracy, nie pierwotni krajowcy, ci bowiem, jak np. Ostyacy, Tunguzy, Juracy, Turuchańcy, Jakity i t. d. wychowują przeważnie i niemal jedynie tylko renifery. Konie latem i zimą pasą się same pod dowództwem i kierunkiem ogiera, który przeprowadza je z pastwiska na pastwisko i do wody i który między nimi wzorowy utrzymuje porządek. Do swojego stada (tabunu) żadnego obcego nie dopuści ogiera, ani żadnej obcej klaczy, a w razie napadu wilków lub niedźwiedzia, on sam kieruje obroną i przeważnie broni sam, dlatego też ogiera zawsze tylne nogi kują na ostro. Do krów, trzody i owiec utrzymują pastuszków. Każdy gospodarz ma swojego pastuszka, a ci łączą się zwykle razem dla ewentualnej obrony, mimo tego nie ma prawie dnia, ażeby wilki lub niedźwiedzie nie pożarły lub nie zadusiły jakiej sztuki, jeżeli nie więcej. Tatarzy trzymają niezliczoną ilość owiec, a w okolicy Minusińska przeważnie chowają owce sajańskie. Są one bez porównania większe od owiec zwykłych, białe jak mleko, o długiej, gładkiej i jak pela delikatnej wełnie; jeden taki baran po zabiciu, po oczyszczeniu go i wyrzuceniu wnętrzności, bez skóry, bez głowy i nóżek, waży 60 funtów, należy jednak nadmienić, że sam ogon takiego barana waży około 20 funtów i zawiera sam tłuszcz zwany kurdziukiem. Taki kurdziuk kraje się w kostki, przysmarza z cebulą, a potem chowa się do lodowni i przechowuje na użytek domowy jako wcale dobra i smaczna do potraw omasta. Taki cały baran jeszcze żywy kosztuje 1 rsr., jeżeli zaś naraz kupuje się np. 80 lub 100 sztuk i więcej, można je kupić sztuka na sztukę po 60 kopiejek. Tatarzy takiemi masami utrzymują owce, że biją je w jesieni prawie tylko dla skóry i dla kiszek, z których wyrabiają nici do wyszywania swoich „jarmaków“ (kaftanów długich) i futer, część tylko mięsa przechowują na zimę, a resztę, czego niepodobna już pozbyć za pieniądze, wyrzucają psom, albo na pastwę dla wilków i niedźwiedzi lub innych drapieżnych zwierząt. Tatarzy gotują baraninę zwykle z herbatą i kobylem mlekiem, gości zaś znakomitszych albo w dnie uroczyste traktują mięsem ze źrebiąt młodych, z kobylego zaś mleka wyrabiają napój zwany „kumys“; jest on upajający i jeżeli dobrze przyrządzony, smakiem do szampana podobny. Masło w Syberyi sprzedają tylko topione, mleko zaś i śmietankę na zimę przygotowują podczas lata. Nalewają do szerokich misek i stawiają do lodowni, gdy zamarznie zupełnie,

przewracają miskę, składają na lodzie i powtarzają to codziennie tak długo, dopóki nie uzyskają tym sposobem dostatecznego zapasu. Za $2^1/_2$ funta masła płaciliśmy najdrożej 40 kopiejek. To samo czynią z każdem innem mięsiwem, a głównie z drobiem, którego mają bez liku. Kury, kaczki, gęsi, pielice czyli pantarki oraz indyki w każdym znajdują się domu. Pod jesień zarzynają wszystkie, z wyjątkiem tych, jakie pozostawiają na rozpłodek, i sprawione chowają do lodowni na zimę, co czynią także z dziczyzną upolowaną, a nawet z rybami. U jednego z bogatszych kupców w Aczyńsku byłem świadkiem, gdy po wyprawionej rzezi między kaczkami i gęsiami przystąpiono do patroszenia i rozrzynania żołądków; niemal każda kaczka i gęś miała w żołądku mniejsze lub większe ziarnko złota, otoczone okrągło lub owalnie. Tłumaczono mi to w ten sposób, że rzeczułka płynąca tuż koło domu tego kupca, na którą puszczano kaczki i gęsi, zawierać musiała w swym czarnym mule niemało tego szlachetnego kruszcu. Pokazywano mi to pod pieczęcią największej tajemnicy, jedna bowiem taka samorodka złota, znaleziona u kogokolwiek, naraża go zawsze na ciężkie roboty w kopalniach. Psów jest wiele i każdy gospodarz posiada najmniej dwa psy, po większej części zwyczajne kundysy; w niektórych okolicach, n. p. w Irkucku, są psy ogromne. Gdy tylko zciemni się, spuszczają je z łańcuchów i wówczas bardzo niebezpiecznie wychodzić na miasto. Psy, którymi jeżdżą na północy, należą także do rodzaju kundysów. Kot domowy, tak zwany angorski, wielki i o długim włosie. Co do dzikich zwierząt, obok wyżej opisanych rozmaitych rodzajów niedźwiedzi, znajduje się w Syberyi niezliczona masa wilków. Wilki sybirskie są bez porównania mniejsze od naszych i nie tak niebezpieczne jak u nas. W czasie tylko pewnym, w miesiącach Grudniu i Styczniu, bywają niebezpieczniejsze, zwyczajnie jednak nigdy nie rzucają się na ludzi, a i wówczas nawet chyba tylko w razie zranienia samicy, lub w takim razie, gdy zaczepione zostałyby zmuszone do obrony. W powrocie moim z Syberyi spotykałem po kilkanaście, ba nawet zgraję kilkudziesięciu wilków, samica szła powoli, z pyskiem po oczy zakrwawionym, za nią postępowała zgraja, nie żrąc się między sobą. Samica szła tuż obok moich sani, szczerząc na mnie zęby; chciałem uderzyć ją laską żelazną, ale towarzyszący nam żandarm schwycił mnie za ramię z wykrzykiem: „Hospodi Bożе! astawtie eto, a to pagibniem wsie!“ (Panie Boże! zaniechaj pan tego, inaczej zginiemy wszyscy!) Było nas pięciu. Konie — dziwna — ani nie parsknęły i cała zgraja przeszła koło nas powoli. Zaledwie ujechaliśmy kilkadziesiąt kroków, spotkaliśmy małego chłopczynę 14 do 16 lat, pędzącego cwałem na prostych gołoblach trójką koni. Zatrzymałem go, ostrzegłem o niebezpieczeństwie i radziłem wrócić z nami, ale chłopczyna zaśmiał się tylko i odrzekł: „Eto niczewo!“ i dalej puścił się cwałem. Żandarm widząc tę śmiałość chłopczyny, śmiejąc się rzekł do mnie tamtejsze przysłowie: „Da wot widitie, czto awstrijcu na pagibel, to ruskomu na zdorowie!“ (Bo to widzi pan, co Austryakowi na zgubę, to Rossyaninowi na zdrowie!) Bywają jednak wypadki, że w nocy zakradają się w znacznej liczbie do wioski i tam między bydłem i końmi istne wyprawiają zniszczenie. Pewnego razu wpadła zgraja wilków w podwórze i w jednej nocy wydusili wilcy 30 koni tak dalece, że z 40 blisko koni pozostało tylko klaczy i jeden ogier okropnie pokaleczony. Owce zwykle pasą w pobliżu lasów, boć to tam las prawie wszędzie. Otóż wilki wybierają się w liczbie kilku i nagle rzucają się pomiędzy owce, te rozbiegają się na wszystkie strony, a wilki nie troszcząc się wcale o krzyki pastuchów, unoszą z sobą sztuk tyle, ile zdołali pochwycić. Widziałem wilka z futrem bardzo zbliżonem do lisa niebieskiego. Oprócz wilków, jest bardzo wiele lisów zwyczajnych, niebieskich i czarnych. Skóra lisa zwyczajnego kosztuje 3 rsr., niebieskiego nie pamiętam, ale za czarnego lisa płacą zaraz bez targu 500 rsr., skórki te bowiem wyprawiają tylko dla petersburgskiego dworu. Dalej miliony wiewiórek (biełka) popielatych, mniej czerwonych, czasami czarnych, które płacą lepiej, za skórkę bowiem zwyczajnej popielatej wiewiórki płaci się po dziesięć kopiejek; miliony gronostajów skórka po 15 do 18 kopiejek, nareszcie maleńkie u nas nieznane burundiuki. Jest to ładne, maleńkie zwierzątko, z futerkiem krótkiem, lśniącem, brudno-żółtej barwy z brunatnymi płatkami. Wielkość burundiuka można porównać z małą myszką naszą, kształt do wiewiórki zbliżony, ale z ogonem krótszym i wcale nie puszystym. Burundiuk żyje owocami, listeczkami i pączkami drzew. Widziałem ich wiele w tajgach. Zajada spokojnie, przypatruje się człowiekowi bez obawy. Byłoby mi żal zabijać takie niewinne, ładne stworzeńko. Jest ich ogromna masa, chociaż je tępią bezustannie. Z futerka ich robią szlafroki, które mnie nie podobały się wcale. Bobry sybirskie o tyle, o ile ja sam miałem sposobność widzieć z nich futra, były wprawdzie więcej może puszyste od zwyczajnych bobrów, widywanych i sprzedawanych w Europie, ale barwa ich raczej do jasno-tabaczkowej zbliżona i nie tak lśniąca. Sobole w wielkiej liczbie, puszyste i ciemne, jakby srebrnymi nabijane włosami i więcej jasne, mniej zatem piękne i taniej sprzedawane. Za jedną skórkę sobola płacą po 15—25 i do 30 rsr., a nawet i więcej. Tchórzów także jest wiele i tchórze sybirskie bardzo są poszukiwane i drogie. Białych zajęcy wszędzie niezliczone masy; są one mniejsze od naszych i nie tak smaczne jak u nas. Sybiracy nie jedzą ich wcale, uważając ich za zwierzę „pohane“. Są też sarny, jelenie, daniele, łosie (po rossyjsku sochaty), renifery. Jaka masa łosiów znajduje się w Syberyi, niechaj za dowód posłuży fakt, że za 40 funtów mięsa łosiowego płaci się 35 do 40 kopiejek. Po polach niesłychana ilość susłów. Pisząc o zwierzynie w ogóle, muszę wspomnieć i o tem, że z po za sajańskich gór przekrada się czasami latem i tygrys, a nadto opowiadano mi z wszech stron i stanowczo twierdzono powszechnie w Minusińskim okręgu, że w czasie od 1850 do 1864 r. pojawił się w tamtych stronach zwierz, który miał rzucać się tylko na małe źrebięta, a miał tak jadowite pazury, że byle tylko drasnął które źrebię, wkrótce zdechało; utrzymywano, że zwykle drasnął źrebię tylko w tylną łopatkę. Michał Iwanowicz Arafiew, który miał widzieć tego zwierza, opowiadał mi jak wygląda, ale już uleciało mi z pamięci. Zdaje się, że to był chyba ryś albo kot dziki, jakich Syberya posiada tak wiele. W ptactwo wszelkiego rodzaju także bardzo obfituje Syberya, a osobliwie tajgi i miejsca w pobliżu bagien, jezior i rzek, któremi przyroda hojnie obdarzyła ten kraj. Obok drapieżnych orłów, jastrzębi, które tak bywają śmiałe, że częstokroć za kurą albo kurczęciem wpadają aż do pokojów przez okna, dalej małych kruków, kawek, małych wron, które bywają zwiastunami wiosny, oraz mnóstwa srok zwyczajnych i brudnożółtych, zwiastunów zimy, mnóstwo rybitw, miliony wszelkiego rodzaju kaczek, ceranek, łysek, nurków, gęsi, łabędzi, żurawi, czapli, słonek, kszyków, bekasów, dubeltow, kulików, kulonów, dalej prawdziwie miliony jarząbków, pardw, cie-

trzewi, głuszców, nareszcie jaskółki, kosy, szpaki, niebieskie i zwyczajne wróble, dla których przed każdym niemal domem na wysokiej żerdce mniej lub więcej ozdobny zatknięty jest domek, w którym wychowują młode, nakoniec rozmaitego rodzaju puhacze i sowy, kukułki, czyże, szczygły, skowronki, gile, przepiórki, chruściele i wiele, wiele innych ptaków, z wyjątkiem naszego słowika i bociana. Obok turkawek, synogarlic i dzikich gołębi, przechowują miasta i wsie zaprawdę miliony gołębi, których nikt nie strzela, bo upatrując w nich uosobienie Ducha świętego, uważają krzywdę wyrządzoną temu ptakowi za świętokradztwo, my jednak strzelaliśmy i jedli, powoli od nas przyuczyli się i włożyli do tego i Sybiracy.

IX. Polowanie na niedźwiedzie i inne zwierzęta i ptaki.

Polowanie na niedźwiedzie i inne zwierzęta tudzież na ptaki, odbywa się w Syberyi w zupełnie inny sposób jak u nas. Przedewszystkiem winienem uprzedzić zaraz na wstępie, że wszystkie opisy o polowaniach, n. p. że Ostyak, Tunguz i t. d. kładą się z nożem na ziemi, nieźdwiedź nadchodzi, ustawia się nad nim (rozumie się chyba tak, żeby leżący mógł go lepiej ugodzić), a on wówczas nożem w samo trafia go serce; albo że idą z parasolem, na którego szczycie zatknięte jest ostrze żelaza, że myśliwy podrażniwszy niedźwiedzia, kryje się pod ten parasol, a niedźwiedź zabija się a raczej nadziewa się na to ostrze i t. p., istną są bajką, kreśloną w bujnej imaginacyi autorów, którzy może nigdy w swem życiu nie widzieli żywego sybirskiego niedźwiedzia. Coś podobnego nie dałoby się wykonać nawet z naszym pospolitym bartnikiem, a cóż dopiero z niedźwiedziem sybirskim, istnym kolosem, który padając na myśliwego, zabił, zadusiłby go już samym ciężarem swojego cielska. Trafiało się wprawdzie, że niedźwiedź chcąc wydrzeć dzidę, przez prędkość, dziką żywość i gniew, kaleczył, a może nawet i przebijał się na śmierć, ależ to tylko nadzwyczajne zdarzenia, ażeby jednak postępowanie podobne stanowiło pewien usystemizowany sposób polowania, wierutną jest bajką, z jakiej, gdy to opowiadałem rzeczywistym myśliwym, polującym na te zwierzęta, śmiano się na całe gardło. Niedźwiedź przecież, jak wszystkie czworonożne zwierzęta, leni się na wiosnę i w jesieni, skóra jego z wiosny i jesieni jako futro zupełnie jest bezpożyteczna, poszukiwana najwięcej zimowa, futro to bowiem jest długie, lśniące i puszyste, a co główna, trwałe. W zimie zaś niedźwiedź spi w swojej zimowej norze, którą umieją odszukać i poznać tylko prawdziwi myśliwi z zawodu albo mieszkańcy tajg, t. j. pierwotni Syberyi krajowcy. Odszukanie takiej nory jest tem trudniejsze, gdy niedźwiedź na zimę zapuszcza się daleko w głąb tajgi i tam dopiero układa się do swojego długiego, bo 5 do 6-miesięcznego snu. Wyrwany raz z takiego snu, już nie kładzie się więcej. Taki niedźwiedź jest najniebezpieczniejszy, bo wyrwany z swojego normalnego stanu, jest bezustannie w pewnym, jak utrzymują, gorączkowym gniewie. Zapuszczać się zaś wśród zimy w głąb tajgi, nie jest to łatwe zadanie, ziemia bowiem głębokim pokryta śniegiem, częstokroć naraża myśliwego na zapadnięcie w głąb prawie bezdennych drzewnych pruchniałek, z których wydobycie się bardzo jest trudne, niemal tak trudne, jak z głębi bagna. Krajowcy i inni myśliwi, zapuszczający się zimą w głąb tajgi, przedewszystkiem znają ją dokładnie, a następnie używają do tej wycieczki łyżw drewnianych, podszytych pod spodem skórą „sochatego“ (łosia) albo renifera, a mianowicie w ten sposób, że włos pod podeszwą spływa od palców ku pięcie. Łyżwy te są długie mniej więcej na sążeń, a szerokie 6—8 cali. Śnieg w Syberyi przez całą zimę jest suchy jak suchy piasek, człowiek zatem idąc bez łyżw, tonąłby w nim głęboko, a nadto byłby narażony na szybkie zmęczenie. Na takich łyżwach zaś utrzymuje się na samym wierzchołku, idąc z góry zsuwa się gładko, a wychodząc na górę nie ślizga się, bo go zatrzymuje włos. Krajowcy, t. j. Ostyaki i t. d., nie używają strzelb, a tylko najrozmaitszych strzał, rozmaitej wielkości i z rozmaitego materyału. Zwierzęta z drogiem futrem zabijają strzałami tępemi, które nie dziurawiąc skóry, zabijają ugodzeniem w głowę. Na każdy niemal rodzaj zwierzyny i ptaka odmienne mają strzały i gdy taki krajowiec na dłuższą wybiera się wycieczkę myśliwską, kołczan jego, pięknie nawet i paciorkami wyszywany, tak pełny jest strzał, że stanowi ciężar niemały. Polowaniem na niedźwiedzie, lisy, bobry, tchórze, łosie, sobole i t. d. przeważnie trudnią się pierwotni Sybiru krajowcy, a przedewszystkiem Ostyacy i Tatarzy. Czasami towarzyszą im napływowi mieszkańcy Syberyi. Znalazłszy n. p. gawrę niedźwiedzią, wyjście z niej zakładają ciężkiemi drzew kłodami i tylko taki pozostawiają otwór, ażeby mogli dojrzyć głowę niedźwiedzia. Gdy jedni dla powiększenia ciężaru siadają na kłodach, drudzy stoją naprzeciwko otworu w pogotowiu na przyjęcie rozgniewanego zwierza. Gdy już wszyscy ustawili się jak należy, podnoszą wrzaskliwy krzyk, a czasami i strzelają do nory, ażeby tym sposobem podrażnić strasznego nieprzyjaciela i zmusić go do starań, do usiłowań wydostania się na zewnątrz. Niedźwiedź rzeczywiście rozjątrzony zuchwalstwem tych, którzy ośmielają się przerywać jego zimowy spoczynek, stara się rozrzucić ciężkie zapory, ażeby ukarać śmiałków. Jeżeli zapory dobre a niedźwiedź ukaże się w otworze, wówczas niemal do samego łba przykładają strzelby i trupem kładą na miejscu. Gdy zaś niedźwiedź jednym skokiem wywali zapory i jak opowiadają z zręcznością właściwą tygrysom wydostanie się na zewnątrz, wtedy zwykle wszystko umyka co tchu, najczęściej bowiem nikt z obecnych nie ma odwagi stawić mu czoła, Sybiracy bowiem, którzy w wielu razach niemal z pogardą życia narażają się na śmierć, rzadko tylko wobec Michaiła Iwanowicza dotrzymują placu. W takim razie niedźwiedź dopada pierwszego lepszego, zdziera mu skórę z głowy i z twarzy, potem łamie kości, następnie rzuca się na drugiego i na tylu, ilu dopaść może w swym gniewie i z każdym w podobny postępuje sposób. Takie wypadki wydarzają się niemal co zimy i opowiadano mi, że w roku 1862 mieszkańcy Nararowy, położonej o kilkanaście wiorst od Aczyńska, udawszy się w liczbie 40 ludzi na niedźwiedzia, którego odkryto na zimowej leży, bardzo silne poczynili zapory, a gdy już wszystko było gotowe, jątrzyli go krzykami i rzucaniem kamieni do nory. Niedźwiedź przeczuwając, że otworem trudno mu będzie wydostać się na zewnątrz, wyrwał nieco dalej od otworu ziemię, wydobył się na wierzch, ryknął raz przeraźliwie i rzucił się zaciekły w gniewie na swoich przeciwników. Rozumie się wszyscy myśliwi rozpierzchli się na wszystkie strony. Michaił Iwanowicz dopadał jednego za drugim, zdzierał im skórę z głowy i twarzy i łamał kości. Tym sposobem pięciu ludzi zamęczył na śmierć, a kilku poranił ciężko, nim uciekający ochłonąwszy z pierwszego wrażenia zdołali zebrać się i zdecydować na nowy atak dla obrony swoich towarzyszów. Tym sposobem zdołali ocalić jeszcze ciężko pokaleczonych, ale czy uwierzy kto,

że po kilkunastu strzałach, zapewne dość celnych, rozjuszony niedźwiedź widząc oczywistą przewagę, uszedł w głąb tajgi. Zdaje mi się, że do śmierci już chyba nie zapomnę pierwszego mojego z niedźwiedziem spotkania. Rzecz miała się następnie: Było u nas w zwyczaju odwidzać sąsiadów. Otóż pewnego dnia przyjechało do mnie w gościnę kilku kolegów z Szutoczkiny, a mianowicie Jaworski i Węgierski, do których z Kaczetatu przyłączył się i Rutkowski. Pobywszy u mnie dzień czy dwa, skłonili mnie do odwidzenia ks. kanonika Krajewskiego, mieszkającego o 12 wiorst za Kaczetatem, t. j. w Jełówce. Zabawiwszy u gościnnego kapłana aż do rana, ruszyliśmy wraz z nim do Szutoczkiny do młodego księdza, którego nazwiska nie pamiętam, i do kilku innych kolegów. Ponieważ dzień był prześliczny, poszliśmy piechotą, a to tem chętniej, gdy cała droga wynosiła zaledwie 3 wiorsty. Jełówka od Szutoczkiny jest oddalona właściwie nie więcej jak o wiorstę, licząc na przestrzał, gdy jednak te wioski przedziela wielkie jezioro, a przystęp do jeziora bagnisty, a nadto na jeziorze nie ma ani jednego czółna, droga więc okala jezioro i tym sposobem tworzą się trzy wiorsty. Zacny kanonik ten, nadzwyczaj nabożny, który za nic nie opuściłby swojej modlitwy wieczornej, swoich pacierzy, spieszył się do domu i zamierzał udać się z powrotem tak, ażeby na czas oznaczony niewątpliwie być w domu. Rozumie się, że żaden z nas nietylko nie śmiał zaprotestować lub opierać się życzeniu zacnego i kochanego przez nas kapłana, ale nadto postanowiliśmy wszyscy odprowadzić go pieszo aż do Jełówki, a zebrało się nas kilkanaście osób. Po kilku godzinach pobytu przeważnie u młodego księdza, który — pamiętam jak dziś — przyjmował nas wyborną herbatą i tem wyborniejszemi konfiturami z czarnej smorodiny, podawanej każdemu z gości prawie po pełnym talerzu, postanowiliśmy wyruszyć do Jełówki. Byliśmy już wszyscy zebrani i całkiem gotowi, gdy gospodarz młodego księdza wszedł do pokoju z oznajmieniem, że nie radzi wcale iść teraz do Jełówki, bo właśnie przed chwilą wrócił ztamtąd jego parobek i doniósł, że na własne oczy widział świeżutkie ślady Michaiła Iwanowicza. „Ale — zaczęła starszym perswadować młodzież — co tam niedźwiedź! Jest nas przecież kilkunastu, każdy z nas palną ma broń, oprócz tego mamy i laski żelazne, nie ma więc czego obawiać się tak bardzo. Ja przynajmniej — rzekł jeden z walecznych młodzików — ja nie lękam się wcale.“ „I ja, i ja — powtarzali inni niemal jednogłośnie — i ja nie boję się!“ — „Ale my — rzekłem — ksiądz kanonik i ja, boimy się.“ — „Jak to? — zawołano ze zdziwieniem — pan boi się? Pan przyznaje się do tego? „A dlaczegoż nie mam się przyznać? Ja boję się, bo nie mam życia na to, ażeby dać się pożerać przez niedźwiedzia, a tyle nagadano nam o niebezpieczeństwie, na jakie naraża polowanie na to straszne zwierzę lub spotkanie się z niem.“ „A więc pan nie pójdziesz z nami?“ — zapytał jeden z młodzieży. „Tego nie mówię, a przeciwnie, wiedząc, że tylu walecznych mieć będę towarzyszy, śmiało pójdę z wami.“ — „A więc chodźmy, chodźmy!“ — zawotowali niemal wszyscy i zaraz ruszyliśmy w drogę. Minęliśmy prędko poskotinę i weszliśmy w las. Po prawej stronie drogi była istna tajga, po lewej zaś ciągnęło się wąskie pasmo drzew, za niemi łąka coraz bagnistsza, a dalej jezioro. Nie uszliśmy jeszcze pół drogi do Jełówki, gdy posłyszeliśmy krótki, urywany ryk niedźwiedzia. Jak na komendę zatrzymali się wszyscy. „No, panowie — rzekłem głosem zwyczajnym — należy ułożyć nam plan ataku na wypadek spotkania się z Michajłem.“ — „Ależ — cichym głosem zawołał przerażony jeden z walecznych jeszcze przed chwilą młodzików — mów pan ciszej, nie należy wilka wywoływać z lasu!“ — „Przeciwnie — rzekłem nieco podniesionym głosem — wobec tylu walecznych możemy śmiało zmierzyć się z Misiem.“ — „Wróćmy się chyba“ — rzekł inny waleczny młodzieniec. — „Ależ panie!“ — zawołałem śmiejąc się — być w Rzymie i papieża nie widzieć, to wstyd!“ — Wracajmy! wracajmy!“ — zawołało kilku odważnych. — „Nie, panowie — odpowiedziałem — skoro tutaj zwlekliście mnie panowie objawami swojej waleczności, nie myślę wracać, nie spotkawszy się z Michajłem Iwanowiczem. Widzę po waszych twarzach, że panowie niektórzy spuszczają nieco z tonu wygłoszonej swojej odwagi. Otóż zapraszam na ochotnika, kto pójdzie ze mną?“ Na te słowa wszyscy bez wyjątku zgłosili się do towarzyszenia mi na niedźwiedzia. Porozdawałem więc role i ile możności jak najciszej puściliśmy się dalej. Porykanie niedźwiedzia dawało się słyszeć od czasu do czasu coraz głośniej. Na dany przezemnie znak zatrzymali się wszyscy w pewnej wyznaczonej odległości. Rutkowski był mi po prawej, Jaworski po lewej ręce, a Węgierski tuż za mną. Wszyscy mieli polecenie celować w ucho i na dany znak wypalić, w razie zaś, gdyby wszystkie strzały były chybione, albo niedostateczne, pozostawieni obok nas i za nami towarzysze mieli nowym powitać go ogniem, a w ostatecznym razie rzucić się na niego z żelaznemi laskami i toporami, jakich u nas było podobno dwa. Domyślając się, że niedźwiedź musi być bardzo blisko i przekonawszy się, że ryk dochodzi nas z jednego miejsca, przypuszczałem, że niedźwiedź musi spoczywać, i dlatego chcąc go podejść leżącego, schyliłem się i czołgając zapuściłem się w krzaki wraz z moimi towarzyszami. Ostrożnie i jak najciszej rozsuwając gałęzie, powoli czołgaliśmy dalej i dalej. Przez krzaki ujrzeliśmy już koniec lasu i jeszcze kilka kroków, a byliśmy na samym niemal krańcu i zasłaniały nas tylko krzaki dość gęste. Z ryku mogłem wnosić na pewne, że niedźwiedź musi być od nas zaledwie o kilkadziesiąt kroków, oprócz tego wydawało mi się, jakoby oprócz tonów dziwnego tego ryku, słychać było jeszcze głos jakiś niby drugiego niedźwiedzia, wydającego z siebie jakby jęk boleści w ostatniej już życia chwili. Czyniło to na mnie, a jak dowiedziałem się później, i na moich towarzyszów bardzo przykre wrażenie, przejmujące zgrozą. Odsunąłem nareszcie ostatnie gałęzie i moim oczom okropny, przerażający przedstawił się widok. Kolos brunatno-czarnego niedzwiedzia leżał całym swoim ciężarem na dogorywającej już krowie, która jednak jeszcze od czasu do czasu drgała konwulsyjnie i chcąc dźwignąć się, ostatnie czyniła wysilenia. Lewa łapa niedźwiedzia wpoiła swoje pazury w okolicach nozdrzy biednego bydlęcia, a prawą łapą i pyskiem operował coś koło szyi i gardła, czego jednak nie mogłem dojrzeć wyraźnie, Jaworski zaś utrzymywał stanowczo, że niedźwiedź pił krew nieszczęśliwej ofiary. Krowa ta duszona przez tego krwiożerczego zwierza, wydawała od czasu do czasu chrypliwy głos, podobny niby do stęknięcia, a niby do ryku, co poprzednio mieliśmy za głos drugiego niedźwiedzia. Naokoło nieszczęśliwej krowy i na kilku miejscach w pobliżu widzieliśmy wyraźnie ślady nieskrzepłej jeszcze krwi. Potrzeba być artystą malarzem, ażeby oddać wiernie całą okropność tego krwawego obrazu. Na mnie przynajmniej i na moich towarzyszów takie uczynił wrażenie, że przejęty przerażeniem i zgrozą, nie wyobrażając sobie nigdy takiej wielkości niedźwiedzia, czując, że zaprawdę możnaby w niego

trzewi, głuszców, nareszcie jaskółki, kosy, szpaki, niebieskie i zwyczajne wróble, dla których przed każdym niemal domem na wysokiej żerdce mniej lub więcej ozdobny zatknięty jest domek, w którym wychowują młode, nakoniec rozmaitego rodzaju puhacze i sowy, kukułki, czyże, szczygły, skowronki, gile, przepiórki, chruściele i wiele, wiele innych ptaków, z wyjątkiem naszego słowika i bociana. Obok turkawek, synogarlic i dzikich gołębi, przechowują miasta i wsie zaprawdę miliony gołębi, których nikt nie strzela, bo upatrując w nich uosobienie Ducha świętego, uważają krzywdę wyrządzoną temu ptakowi za świętokradztwo, my jednak strzelaliśmy i jedli, powoli od nas przyuczyli się i włożyli do tego i Sybiracy.

IX. Polowanie na niedźwiedzie i inne zwierzęta i ptaki.

Polowanie na niedźwiedzie i inne zwierzęta tudzież na ptaki, odbywa się w Syberyi w zupełnie inny sposób jak u nas. Przedewszystkiem winienem uprzedzić zaraz na wstępie, że wszystkie opisy o polowaniach, n. p. że Ostyak, Tunguz i t. d. kładą się z nożem na ziemi, nieźdwiedź nadchodzi, ustawia się nad nim (rozumie się chyba tak, żeby leżący mógł go lepiej ugodzić), a on wówczas nożem w samo trafia go serce; albo że idą z parasolem, na którego szczycie zatknięte jest ostrze żelaza, że myśliwy podrażniwszy niedźwiedzia, kryje się pod ten parasol, a niedźwiedź zabija się a raczej nadziewa się na to ostrze i t. p., istną są bajką, kreśloną w bujnej imaginacyi autorów, którzy może nigdy w swem życiu nie widzieli żywego sybirskiego niedźwiedzia. Coś podobnego nie dałoby się wykonać nawet z naszym pospolitym bartnikiem, a cóż dopiero z niedźwiedziem sybirskim, istnym kolosem, który padając na myśliwego, zabił, zadusiłby go już samym ciężarem swojego cielska. Trafiało się wprawdzie, że niedźwiedź chcąc wydrzeć dzidę, przez prędkość, dziką żywość i gniew, kaleczył, a może nawet i przebijał się na śmierć, aleź to tylko nadzwyczajne zdarzenia, ażeby jednak postępowanie podobne stanowiło pewien usystemizowany sposób polowania, wierutną jest bajką, z jakiej, gdy to opowiadałem rzeczywistym myśliwym, polującym na te zwierzęta, śmiano się na całe gardło. Niedźwiedź przecież, jak wszystkie czworonożne zwierzęta, leni się na wiosnę i w jesieni, skóra jego z wiosny i jesieni jako futro zupełnie jest bezpożyteczna, poszukiwana najwięcej zimowa, futro to bowiem jest długie, lśniące i puszyste, a co główna, trwałe. W zimie zaś niedźwiedź spi w swojej zimowej norze, którą umieją odszukać i poznać tylko prawdziwi myśliwi z zawodu albo mieszkańcy tajg, t. j. pierwotni Syberyi krajowcy. Odszukanie takiej nory jest tem trudniejsze, gdy niedźwiedź na zimę zapuszcza się daleko w głąb tajgi i tam dopiero układa się do swojego długiego, bo 5 do 6-miesięcznego snu. Wyrwany raz z takiego snu, już nie kładzie się więcej. Taki niedźwiedź jest najniebezpieczniejszy, bo wyrwany z swojego normalnego stanu, jest bezustannie w pewnym, jak utrzymują, gorączkowym gniewie. Zapuszczać się zaś wśród zimy w głąb tajgi, nie jest to łatwe zadanie, ziemia bowiem głębokim pokryta śniegiem, częstokroć naraża myśliwego na zapadnięcie w głąb prawie bezdennych drzewnych pruchniałek, z których wydobycie się bardzo jest trudne, niemal tak trudne, jak z głębi bagna. Krajowcy i inni myśliwi, zapuszczający się zimą w głąb tajgi, przedewszystkiem znają ją dokładnie, a następnie używają do tej wycieczki łyżw drewnianych, podszytych pod spodem skórą „sochatego" (łosia) albo renifera, a mianowicie w ten sposób, że włos pod podeszwą spływa od palców ku pięcie. Łyżwy te są długie mniej więcej na sążeń, a szerokie 6—8 cali. Śnieg w Syberyi przez całą zimę jest suchy jak suchy piasek, człowiek zatem idąc bez łyżw, tonąłby w nim głęboko, a nadto byłby narażony na szybkie zmęczenie. Na takich łyżwach zaś utrzymuje się na samym wierzchołku, idąc z góry zsuwa się gładko, a wychodząc na górę nie ślizga się, bo go zatrzymuje włos. Krajowcy, t. j. Ostyaki i t. d., nie używają strzelb, a tylko najrozmaitszych strzał, rozmaitej wielkości i z rozmaitego materyału. Zwierzęta z drogiem futrem zabijają strzałami tępemi, które nie dziurawiąc skóry, zabijają ugodzeniem w głowę. Na każdy niemal rodzaj zwierzyny i ptaka odmienne mają strzały i gdy taki krajowiec na dłuższą wybiera się wycieczkę myśliwską, kołczan jego, pięknie nawet i paciorkami wyszywany, tak pełny jest strzał, że stanowi ciężar niemały. Polowaniem na niedźwiedzie, lisy, bobry, tchórze, łosie, sobole i t. d. przeważnie trudnią się pierwotni Sybiru krajowcy, a przedewszystkiem Ostyacy i Tatarzy. Czasami towarzyszą im napływowi mieszkańcy Syberyi. Znalazłszy n. p. gawrę niedźwiedzią, wyjście z niej zakładają ciężkiemi drzew kłodami i tylko taki pozostawiają otwór, ażeby mogli dojrzyć głowę niedźwiedzia. Gdy jedni dla powiększenia ciężaru siadają na kłodach, drudzy stoją naprzeciwko otworu w pogotowiu na przyjęcie rozgniewanego zwierza. Gdy już wszyscy ustawili się jak należy, podnoszą wrzaskliwy krzyk, a czasami i strzelają do nory, ażeby tym sposobem podrażnić strasznego nieprzyjaciela i zmusić go do starań, do usiłowań wydostania się na zewnątrz. Niedźwiedź rzeczywiście rozjątrzony zuchwalstwem tych, którzy ośmielają się przerywać jego zimowy spoczynek, stara się rozrzucić ciężkie zapory, ażeby ukarać śmiałków. Jeżeli zapory dobre a niedźwiedź ukaże się w otworze, wówczas niemal do samego łba przykładają strzelby i trupem kładą na miejscu. Gdy zaś niedźwiedź jednym skokiem wywali zapory i jak opowiadają z zręcznością właściwą tygrysom wydostanie się na zewnątrz, wtedy zwykle wszystko umyka co tchu, najczęściej bowiem nikt z obecnych nie ma odwagi stawić mu czola, Sybiracy bowiem, którzy w wielu razach niemal z pogardą życia narażają się na śmierć, rzadko tylko wobec Michaiła Iwanowicza dotrzymują placu. W takim razie niedźwiedź dopada pierwszego lepszego, zdziera mu skórę z głowy i z twarzy, potem łamie kości, następnie rzuca się na drugiego i na tylu, ilu dopaść może w swym gniewie i z każdym w podobny postępuje sposób. Takie wypadki wydarzają się niemal co zimy i opowiadano mi, że w roku 1862 mieszkańcy Nararowy, położonej o kilkanaście wiorst od Aczyńska, udawszy się w liczbie 40 ludzi na niedźwiedzia, którego odkryto na zimowej leży, bardzo silne poczynili zapory, a gdy już wszystko było gotowe, jątrzyli go krzykami i rzucaniem kamieni do nory. Niedźwiedź przeczuwając, że otworem trudno mu będzie wydostać się na zewnątrz, wyrwał nieco dalej od otworu ziemię, wydobył się na wierzch, ryknął raz przeraźliwie i rzucił się zaciekły w gniewie na swoich przeciwników. Rozumie się wszyscy myśliwi rozpierzchli się na wszystkie strony. Michaił Iwanowicz dopadał jednego za drugim, zdzierał im skórę z głowy i twarzy i łamał kości. Tym sposobem pięciu ludzi zamęczył na śmierć, a kilku poranił ciężko, nim uciekający ochłonąwszy z pierwszego wrażenia zdołali zebrać się i zdecydować na nowy atak dla obrony swoich towarzyszów. Tym sposobem zdołali ocalić jeszcze ciężko pokaleczonych, ale czy uwierzy kto,

że po kilkunastu strzałach, zapewne dość celnych, rozjuszony niedźwiedź widząc oczywistą przewagę, uszedł w głąb tajgi. Zdaje mi się, że do śmierci już chyba nie zapomnę pierwszego mojego z niedźwiedziem spotkania. Rzecz miała się następnie: Było u nas w zwyczaju odwidzać sąsiadów. Otóż pewnego dnia przyjechało do mnie w gościnę kilku kolegów z Szutoczkiny, a mianowicie Jaworski i Węgierski, do których z Kaczetatu przyłączył się i Rutkowski. Pobywszy u mnie dzień czy dwa, skłonili mnie do odwidzenia ks. kanonika Krajewskiego, mieszkającego o 12 wiorst za Kaczetatem, t. j. w Jełówce. Zabawiwszy u gościnnego kapłana aż do rana, ruszyliśmy wraz z nim do Szutoczkiny do młodego księdza, którego nazwiska nie pamiętam, i do kilku innych kolegów. Ponieważ dzień był prześliczny, poszliśmy piechotą, a to tem chętniej, gdy cała droga wynosiła zaledwie 3 wiorsty. Jełówka od Szutoczkiny jest oddalona właściwie nie więcej jak o wiorstę, licząc na przestrzał, gdy jednak te wioski przedziela wielkie jezioro, a przystęp do jeziora bagnisty, a nadto na jeziorze nie ma ani jednego czółna, droga więc okala jezioro i tym sposobem tworzą się trzy wiorsty. Zacny kanonik ten, nadzwyczaj nabożny, który za nic nie opuściłby swojej modlitwy wieczornej, swoich pacierzy, spieszył się do domu i zamierzał udać się z powrotem tak, ażeby na czas oznaczony niewątpliwie być w domu. Rozumie się, że żaden z nas nietylko nie śmiał zaprotestować lub opierać się życzeniu zacnego i kochanego przez nas kapłana, ale nadto postanowiliśmy wszyscy odprowadzić go pieszo aż do Jełówki, a zebrało się nas kilkanaście osób. Po kilku godzinach pobytu przeważnie u młodego księdza, który — pamiętam jak dziś — przyjmował nas wyborną herbatą i tem wyborniejszemi konfiturami z czarnej smorodiny, podawanej każdemu z gości prawie po pełnym talerzu, postanowiliśmy wyruszyć do Jełówki. Byliśmy już wszyscy zebrani i całkiem gotowi, gdy gospodarz młodego księdza wszedł do pokoju z oznajmieniem, że nie radzi wcale iść teraz do Jełówki, bo właśnie przed chwilą wrócił ztamtąd jego parobek i doniósł, że na własne oczy widział świeżutkie ślady Michaiła Iwanowicza. „Ale — zaczęła starszym perswadować młodzież — co tam niedźwiedź! Jest nas przecież kilkunastu, każdy z nas palną ma broń, oprócz tego mamy i laski żelazne, nie ma więc czego obawiać się tak bardzo. Ja przynajmniej — rzekł jeden z walecznych młodzików — ja nie lękam się wcale.“ „I ja, i ja — powtarzali inni niemal jednogłośnie — i ja nie boję się!“ — „Ale my — rzekłem — ksiądz kanonik i ja, boimy się.“ — „Jak to? — zawołano ze zdziwieniem — pan boi się? Pan przyznaje się do tego? „A dlaczegoż nie mam się przyznać? Ja boję się, bo nie mam życia na to, ażeby dać się pożerać przez niedźwiedzia, a tyle nagadano nam o niebezpieczeństwie, na jakie naraża polowanie na to straszne zwierzę lub spotkanie się z niem.“ „A więc pan nie pójdziesz z nami?“ — zapytał jeden z młodzieży. „Tego nie mówię, a przeciwnie, wiedząc, że tylu walecznych mieć będę towarzyszy, śmiało pójdę z wami.“ — „A więc chodźmy, chodźmy!“ — zawotowali niemal wszyscy i zaraz ruszyliśmy w drogę. Minęliśmy prędko poskotinę i weszliśmy w las. Po prawej stronie drogi była istna tajga, po lewej zaś ciągnęło się wąskie pasmo drzew, za niemi łąka coraz bagnistsza, a dalej jezioro. Nie uszliśmy jeszcze pół drogi do Jełówki, gdy posłyszeliśmy krótki, urywany ryk niedźwiedzia. Jak na komendę zatrzymali się wszyscy. „No, panowie — rzekłem głosem zwyczajnym — należy ułożyć nam plan ataku na wypadek spotkania się z Michajłem.“ — „Ależ — cichym głosem zawołał przerażony jeden z walecznych jeszcze przed chwilą młodzików — mów pan ciszej, nie należy wilka wywoływać z lasu!“ — „Przeciwnie — rzekłem nieco podniesionym głosem — wobec tylu walecznych możemy śmiało zmierzyć się z Misiem.“ — „Wróćmy się chyba“ — rzekł inny waleczny młodzieniec. — „Ależ panie!“ — zawołałem śmiejąc się — być w Rzymie i papieża nie widzieć, to wstyd!“ — Wracajmy! wracajmy!“ — zawołało kilku odważnych. — „Nie, panowie — odpowiedziałem — skoro tutaj zwlekliście mnie panowie objawami swojej waleczności, nie myślę wracać, nie spotkawszy się z Michajłem Iwanowiczem. Widzę po waszych twarzach, że panowie niektórzy spuszczają nieco z tonu wygłoszonej swojej odwagi. Otóż zapraszam na ochotnika, kto pójdzie ze mną?“ Na te słowa wszyscy bez wyjątku zgłosili się do towarzyszenia mi na niedźwiedzia. Porozdawałem więc role i ile możności jak najciszej puściliśmy się dalej. Porykanie niedźwiedzia dawało się słyszeć od czasu do czasu coraz głośniej. Na dany przezemnie znak zatrzymali się wszyscy w pewnej wyznaczonej odległości. Rutkowski był mi po prawej, Jaworski po lewej ręce, a Węgierski tuż za mną. Wszyscy mieli polecenie celować w ucho i na dany znak wypalić, w razie zaś, gdyby wszystkie strzały były chybione, albo niedostateczne, pozostawieni obok nas i za nami towarzysze mieli nowym powitać go ogniem, a w ostatecznym razie rzucić się na niego z żelaznemi laskami i toporami, jakich u nas było podobno dwa. Domyślając się, że niedźwiedź musi być bardzo blisko i przekonawszy się, że ryk dochodzi nas z jednego miejsca, przypuszczałem, że niedźwiedź musi spoczywać, i dlatego chcąc go podejść leżącego, schyliłem się i czołgając zapuściłem się w krzaki wraz z moimi towarzyszami. Ostrożnie i jak najciszej rozsuwając gałęzie, powoli czołgaliśmy dalej i dalej. Przez krzaki ujrzeliśmy już koniec lasu i jeszcze kilka kroków, a byliśmy na samym niemal krańcu i zasłaniały nas tylko krzaki dość gęste. Z ryku mogłem wnosić na pewne, że niedźwiedź musi być od nas zaledwie o kilkadziesiąt kroków, oprócz tego wydawało mi się, jakoby oprócz tonów dziwnego tego ryku, słychać było jeszcze głos jakiś niby drugiego niedźwiedzia, wydającego z siebie jakby jęk boleści w ostatniej już życia chwili. Czyniło to na mnie, a jak dowiedziałem się później, i na moich towarzyszów bardzo przykre wrażenie, przejmujące zgrozą. Odsunąłem nareszcie ostatnie gałęzie i moim oczom okropny, przerażający przedstawił się widok. Kolos brunatno-czarnego niedzwiedzia leżał całym swoim ciężarem na dogorywającej już krowie, która jednak jeszcze od czasu do czasu drgała konwulsyjnie i chcąc dźwignąć się, ostatnie czyniła wysilenia. Lewa łapa niedźwiedzia wpoiła swoje pazury w okolicach nozdrzy biednego bydlęcia, a prawą łapą i pyskiem operował coś koło szyi i gardła, czego jednak nie mogłem dojrzeć wyraźnie, Jaworski zaś utrzymywał stanowczo, że niedźwiedź pił krew nieszczęśliwej ofiary. Krowa ta duszona przez tego krwiożerczego zwierża, wydawała od czasu do czasu chrypliwy głos, podobny niby do stęknięcia, a niby do ryku, co poprzednio mieliśmy za głos drugiego niedźwiedzia. Naokoło nieszczęśliwej krowy i na kilku miejscach w pobliżu widzieliśmy wyraźnie ślady nieskrzepłej jeszcze krwi. Potrzeba być artystą malarzem, ażeby oddać wiernie całą okropność tego krwawego obrazu. Na mnie przynajmniej i na moich towarzyszów takie uczynił wrażenie, że przejęty przerażeniem i zgrozą, nie wyobrażając sobie nigdy takiej wielkości niedźwiedzia, czując, że zaprawdę możnaby w niego

napróżno wpakować kilkanaście kul, czując niejako, że uderzenie laską żelazną, nie więcej może niż pół cala grubą, znaczyłoby u niego chyba tyle, ile uderzenie pręcikiem, czemprędzej spuściłem odwiedziony kurek jak to mówią z duszą na ramieniu, wycofałem się wraz z towarzyszami moimi z tego okrutnego miejsca. Stanąwszy już na drodze, prowadzącej do Jełówki, oglądnęliśmy się na wszystkie strony, ale ku największemu naszemu zdziwieniu nie było ani śladu naszych towarzyszów. Z wyjątkiem nas czterech, wszyscy widocznie już dawniej wycofali się ztamtąd i co sił starczyło uciekli do Szutoczkiny, my zaś po wycofaniu się ztamtąd także pospiesznym krokiem w przeciwnym kierunku podążyliśmy do Jełówki, ale tam nie zastaliśmy naszych walecznych towarzyszów, a gdy po niejakim czasie zetknąwszy się z nimi czyniliśmy im wyrzuty, że nas zostawili zdradziecko, czy uwierzy kto, jak tłumaczyli się przed nami? Oto że oni nas stracili z oczów i nie mogli odszukać!! — W podróży mojej do Syberyi opowiadał mi gospodarz, u którego nocowałem, że do niego co nocy o pewnej godzinie przychodzi niedźwiedź ogromny, przełazi parkan, idzie do ula i wyjada miód, dnia więc poprzedzającego mój przyjazd, urządził na niego obławę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wędrówki niektórych zwierząt czworonożnych.

PRZEZ

Aleksandra Ubysza.

Jak zwierzyna skrzydlata nie dla czczej podróżomanii, lecz dla uniknienia zabójczej dla niej zimy i z powodu braku żeru dąży w kraje wiecznej wiosny, tak również zwierzęta czworonożne odbywają wędrówki mniej dalekie, nie sięgające cieplejszych stref, organizm bowiem ich o wiele jest na wpływy wytrwalszym, jak ptaków. Główną pobudką ruchliwości i przenoszenia się z miejsca na miejsce u czworonożnych, jak sarna, jeleń, wilk, lis, wydra, kuna i t. d. jest szukanie żeru, gdy go w gniazdowych kniejach zabraknie, brak wody, gdy je zbytnia posucha wypije, lub kiedy w zimie rzeki, leśne potoki i kałuże pokryją się tak grubę warstwą lodu, że je nawet ostre racice jelenia lub sarny przebić nie zdołają. Sarny gaszą wprawdzie pragnienie śniegiem, po dłuższym jednak czasie, czując niedostateczność, opuszczają rodzinną knieję i szukają w sąsiednich otwartych wód i źródeł, a gdy ich tam nie znajdą, dążą przez pola i łąki ku lasom nieraz o wiele mil oddalonym, gdzie znajdują wodę, a dokąd je instynkt prowadzi. Sarny w ogóle nie trzymają się stale lasów pozbawionych wody, zwykle przebywają w nich tylko podczas wczesnej wiosny, a opuszczają je wraz z zbliżaniem się lata lub mroźnej zimy. Dziwią się właściciele lasów i ich strażnicy, że nagle mioty pełne sarn zupełnie opustoszały, brak wody jedyną jest tego przyczyną. Sarny opuściwszy rodzinne knieje, jeżeli znajdą w sąsiedniej okolicy wodę, powracają zwykle do nich, lecz gdy jej szukać muszą w oddaleniu kilka mil, to już nigdy tam się nie pojawią, nie dlatego, iżby do nich trafić nie umiały, wszak posiadają one jak inne dzikie zwierzęta dar oryentowania się nawet po upływie kilku lat, lecz raczej z powodu, że utkwiły w ich pamięci niekorzystne warunki dla ich bytu owych miejsc, więc też nigdy już do nich nie wracają. Jeżeli się tam pojawi jaka pojedyncza sztuka lub całe stadko, to będą one zupełnie obce, przechodnie. Obyczaj ów zachowują w ogóle wszystkie tak czworonożne jak skrzydlate dzikie zwierzęta. Ale nietylko brak żeru i wody są przyczyną wędrówki, częste polowania, niepokojenia każdego rodzaju, wybierania gniazd, pojawienie się drapieżników i t. p. przykrości, zmuszają zwierzynę do szukania dogodniejszych i spokojniejszych miejsc, często znacznie oddalonych Jelenie mniej są jak sarny wytrwałe na brak wody, której w każdej porze bardzo wiele potrzebują, osobliwie w lecie, jako napoju i kąpieli, trzymają się więc wyłącznie okolic wysoko-górskich, w kórych nie brak wody. Toż w całem pasmie naszych Karpat, z wyjątkiem Tatr i gór Lewockich, przebywają one wszędzie tak na północnych jak na południowych stokach. Gdy zima mniej śnieżna, a bukiew, w Karpatach zaś pokuckich i bukowińskich żołądź, obficie zrodziły, zimują też w północnej stronie, ale gdy zima zawalna, a śnieg często dwułokciową warstwą pokryje wszelki żer jakoteż potoki i źródła, natenczas wszystkie jelenie bez wyjątku ciągną czyli schodzą w południową stronę Karpat, wiedzą bowiem, że tam i mrozy nie tak straszliwe i śniegi mniejsze, a o żer i wodę nie trudno. Nietylko zwierzyna płowa odbywa takie szczególniej w zimie wędrówki, i inne zwierzęta je odbywają. Wilki, jakoby banda rozbójnicza, w nieustannym są ruchu, w każdej porze roku włóczą się to stadami w jesieni i zimie, to parami lub pojedyńczo, gdy szczenna wadera odbiwszy się od stada, szuka zacisza w celu wydania na świat płodu. Stado wilków nigdy dłużej jak dni kilka nie przebywa w jednem miejscu, pędzone jakąś nieprzepartą siłą i właściwą złodziejom i mordercom ostrożnością, w obawie, aby je nie wytropiono i nie pomszczono dokonanych zbrodni. Tryb życia wilków zbyt dokładnie jest znany, iżbym go szczegółowo określał, dodam więc tylko kilka rysów charakterystycznych jako przyczynek do obyczajów tego zwierzęcia. Przyjętem jest i powszechnem mniemanie, że wilki w miejscu swego pobytu lub gniazda nigdy szkody nie czynią. Uważam to twierdzenie za zupełnie bezzasadne na podstawie własnego doświadczenia. Przed laty mieszkałem w Krywem, wsi położonej w głębokich górach Sanockich. Było to w miesiącu Czerwcu, nie było wieści o wilkach, lubo wieś leżała u podnóża pasma gór Otrytu, w pobliżu zaś, w oddaleniu zaledwo kilku tysięcy kroków, ciągnęło się drugie pasmo gór, zwanych Magórą, stykających się bezpośrednio z Połoninami i Beskidem, których podnóża słynne były jako wilcze lęgowiska, śród mnogich owczych szałasów i koszar wołowych. Że to było w lecie, wilki przeto stale trzymały się Połonin i podnóża właściwych Karpat, w owej stronie zwanych Beskidem, wcale nie pojawiając się w zaludnionych okolicach. Wtem pewnej nocy ginie właścicielce wsi dwoje źrebiąt na nocnem z matkami pastwisku. Wszelkie poszukiwania w pobliżu i dalszej okolicy za wilkami, których o ten rozbój podejrzywano, były daremne. Z mandataryuszem, kilku sąsiadami i gromadą chłopów urządziłem obławę bezskuteczną, lubo przebuszowaliśmy znaczną przestrzeń miejscowych i sąsiednich lasów. W kilka dni po zniknieniu źrebiąt wpadły wilki do koszar owczych i porwały sześć owiec. Będąc pewnym, że wszelkie obławy do celu nie doprowadzą, postanowiłem śledzić lęgowisko wilków z pomocą słynnego w gó-

rach kłusownika Procia Bagi. Ruszyliśmy pewnego poranku w Otryt. Proć znając wybornie miejsca, w których wilków na pewne spodziewać się było można, wiódł mnie ku nim. Od świtu do późnej nocy buszowaliśmy po całym Otrycie, mianowicie w częściach jego, należących do wsi Chrewty, Seredniego, Wydrnego, Tworylnego, Krywego i Hulskiego, w prostej linii na przestrzeni więcej jak milowej. My ubiegliśmy przeszło trzy mile, zbaczając w różne miejsca ustronne i dzikie, istne wilcze legowiska, a wróciliśmy z niczem. Nazajutrz wybraliśmy się na Magórę, która jako odnoga Karpat czyli Beskidów nastręczała nam większą możliwość wytropienia wilków. Proć znał tam wszystkie wilcze kryjówki. Jeden dzień nie wystarczał na tę wyprawę. Przenocowawszy na dziale, należącym do wsi Smerek, nazajutrz dotarliśmy aż do pobliskich Połonin, późnym wieczorem wróciliśmy do domu, nie spotkawszy się ani z wilkami, ani z ich śladem. Wieś Krywe leży przy samym Sanie, dwór z ogrodem przylegał do rzeki, po-za nią ciągnęło się niezbyt rozległe błonie, nocne pastwisko dla roboczych koni. Rzeka San mieści w sobie mnóstwo mniejszych lub większych, nagich lub porośniętych gęsto wikliną, rokiciną, olszyną wysepek, niektóre z nich w czasie powodzi pokryte bywają kipiącymi nurtami tej groźnej przy wezbraniu rzeki. Ostrowy te zwykle bywają nagie, bo bystre wody spłukują z nich wszelką wegetacyę. Tylko wyższe wysepki, położeniem swem nie tyle narażone na zalew wodą, bujnie są porośnięte. Dziwne, iż rośnie tam gęsto, szczególnie ponad wodą, dziki agrest, zwany przez lud „weprynami". Krzew ten wydaje nie wielkie, kosmate, nader słodkie jagody, które nieraz spożywałem wspólnie z gromadą kwiczołów, kosów i jemiołów, bitych tam przezemnie kopami w jesieni, gdy się hurmami na jagody zlatywały. Owo końskie pastwisko, z którego wilki porwały źrebięta, leżało po drugiej stronie Sanu, ciągnąc się nie szeroką, ale długą smugą wzdłuż rzeki. U jednego krańca pastwiska, zamkniętego zakrętem rzeki, znajdowała się w środku Sanu duża, wiklinowym, jerzynowym, olszowym i agrestowym gąszczem pokryta ostrowa. Pewnego dnia wyszedłem ze strzelbą na sroki, których w górach mnóstwo. Zwykle towarzyszył mi w wycieczkach Zagraj, ogar emeryt, stary, głuchy, ślepy, pokiereszowany przez dziki, gdy ongi w swej młodości za czasów ś. p. Feliksa Łążyńskiego, słynnego w górach Sanockich myśliwego, wspólnie z swym panem cudów łowieckich dokonywał. Zagraj był ostatnim z licznej niegdyś psiarni, cieszył się więc największymi względami wdowy po owym słynnym myśliwym, właścicielki Krywego. W czasie mojej bytności w górach starałem się też Zagrajowi uprzyjemnić starość, spał nawet w moim pokoju. Dziwny to był pies; choć głuchy jak pień, gdy kto w nocy przechodził pod oknami mego pokoju, zrywał się, warczał i szczekał przytłumionym głosem. Zwykle spał bardzo twardo, wyprawiając nieraz we śnie nader pocieszne sceny, gonił głosem niby w kniei, poruszał wszystkiemi czterema łapami. Najsilniejsze wołanie nie budziło głuchego Zagraja, lecz najlżejsze dotknięcie, choćby źdźbłem słomy, ożywiało natychmiast, tak był wrażliwym. Miałem chłopca do usługi, umiejącego wybornie naśladować brzęczenie lecącej pszczoły. Chłopiec był młody i wielki figlarz, istną był plagą dla psów, nie wyłączając Zagraja, gdy bowiem który z nich, ułożywszy się w chłódku, pocznie drzemać, chłopak brzęczy mu nad uchem i z lekka dotyka słomką; pies w przekonaniu, że to pszczoła, kłapie zębami, chcąc pochwycić napastnicę, gdy to dłużej trwa, umyka, kryjąc się starannie. Zagraj najczęściej doświadczał tych figlów. Ale wracajmy do Sanowej wysepki. Lato było posuszne, woda na Sanie opadła, łożysko rzeki jeżyło się głazami, więc woda w niskim swym stanie szumi donośnie i pieni się, mozolnie torując sobie drogę ponad bryły skaliste i szczeliny głazów. Przy niskim stanie wód można potoki, a nawet większe rzeki, jak San, przekroczyć suchą nogą, stąpając z jednego głazu na drugi. Tak też podszedłem aż ku Sanowej wysepce. Zagraj obudziwszy w sobie dawne popędy łowieckie, zaszywszy się w jej gąszcz, począł strychować, ale nagle przypadł mi do nóg z najeżonym włosem, skomląc żałośnie. Nie domyślając się przyczyny jego przestrachu, wciskam się sam w gąszcze wysepki, a uszedłszy zaledwie kilka kroków, słyszę nagle głos chłopca pasącego konie: „wowki! wowki!" Wybiegam ku brzegowi zarośli i widzę, jak o 100 kroków może pomyka w górę ku Otrytowi stadko wilków. Nie namyślając się posłałem im dwa strzały kaczego śrótu, naturalnie bezskutecznie. Przeszukawszy całą wysepkę, natrafiłem na prawdziwe wilcze legowisko, zasłane wełną pożartych owiec. Sądząc z dat, a raczej szkód, wyrządzanych włościanom wsi Krywego i sąsiedniego przysiołka Tworynczyka, o czem później dowiedziałem się, wilki przebywały stale dwa miesiące niemal na owej ostrowie. Przezorne te zwierzęta na wzór sprytnych złodziei ukryły się tam, gdzie się ich najmniej spodziewano, gdzie ich nawet psy wytropić nie mogły, woda bowiem rzeki zacierała ich trop. Wilki ruszają szczególnie w zimie, gdy z powodu pustych pastwisk o żer trudno, w daleką często wędrówkę, rabując po drodze lub urządzając formalne obławy na sarny i jelenie, nigdy stale na jednem miejscu nie pozostając. Włóczą się nieustannie, zaledwie się gdzie pojawią, wnet znikają. Na wiosnę od Kwietnia i Maja przerzedzają się ich stada, bo szczenne wadery często w towarzystwie wybranego basiura szukają ustronnego legowiska. Reszta stada, składająca się z młodzieży i jałowych wader, puszcza się na dalszą włóczęgę. Największy rozstrój czyni w stadzie cieczka. Wtedy wadery według obyczaju psiego w ciągłym są ruchu, uganiają szalenie, a za niemi pędzi całe stado, zażerając się pomiędzy sobą. Jest rzeczą pewną, iż podówczas rzucają się wściekle samcy na to, na co samica się rzuca, nawet gdy ona którego z zalotników zębami szarpnie, to rywale opadają go i zagryzają na śmierć lub srodze kaleczą. Skoro w zimie wody lodem się zetną, to już wtedy swobodnie się włóczą, lubo w lecie też nie wstrzymują ich wody, które wpław lub w bród przebywają. Ale w zimie zapędy ich są najdalsze; wszak malowniczy daje nam obraz W. Pol, gdy opisuje pochód wilków po zamarzłej odnodze Bałtyckiego morza w okolicy Rygi aż ku odległym brzegom Szwecyi. — U lisów w mniejszym stopniu rozwinięty jest popęd do wędrówki. Gdy śnieg spadnie i zima się ustali, opuszczają wszystkie lisy okolice górskie i lesiste, spieszą na równiny, szukając żeru, którego w zimie brak wielki. Czemże lis żywi się wtedy? Zającami, które przy wielkich śniegach łowi zagrzebane w kotlinach, w nocy podkrada się pod stadko kuropatw, pochwyci jedną, reszta ulatuje. Wyprawa po wiejskie gęsi, kury nie zawsze się udaje i zbyt hazardowna, do takiego przemysłu uciekają się tylko przemądre, stare lisy, nigdy młode, niedoświadczone. Głównem pożywieniem lisów w zimie są myszy, a tych mniej bywa w górskich lub leśnych okolicach, niechętnie bowiem tam idą nawet podczas swego p o l e c i a czyli pojawiania się swego, niezbadanego dotąd, nadmiernego w pewnych latach, zwanych m y s i e m i l a t a m i. W wędrówce nie idą w głębokie góry, gdzie strome skały, głębokie jary, wartkie potoki wstrzymywałyby ich pochód; instynktem wiedzione, unikają miejsc pozbawionych odpowiedniego dla nich żeru. Gdy więc spadną śniegi, a ziemia mrozem przejęta stwardnieje i utrudni lisom wygrzeby-

wanie myszy, wtedy schodzą one z gór w doliny, gdzie i myszy znajdą, i zające i kuropatwy, których w górach albo brakuje zupełnie, lub bardzo mało. Nieraz zadziwia myśliwych pojawienie się znaczniejszej liczby lisów w kniejach i na polach. Przybyły z dalekich okolic i oto niby ciemne punkty czarnieją na polach zasłanych śniegiem — to lisy, wracające z nocnej włóczęgi do kniei, do miedz polnych, gęsto podszytych tarniną, dziką różą, głogiem lub innymi krzewami, tam obrały one sobie chwilowe schronisko, lub też w czystem polu zwinąwszy się „w trąbkę“, przedrzemią południową godzinę, aby przed wieczorem wyruszyć znowu na rozdobędę. Jadącym saniami bez dzwonka, nieraz zdarzało się widzieć kilka a nawet kilkanaście lisów, często przy samej drodze, przywarują na widok zbliżających się sani na chwilę, i znowu myszkują swobodnie. Na stawach, błotach, porośniętych trzcinami lub rogożą z kołbaniami czyli oparzeliskami, zbierają się gromadnie. Z dalekich stron ciągnie tam owa zgłodniała zgraja, tam żaba i piskorz wynurzy się z wymarzniętych wód, żaba ujęta snem zimowym, piskorz martwy, sztywny jak drut, łatwa więc zdobycz. Tam lisy dniują i nocują, chyba zagrażająca zawierucha pędzi je do kniei, którą przebuszują starannie, szukając nor lisich czy borsuczych, gdzie na chwilę znajdują schronienie, a po uspokojeniu się powietrza wracają na błota i stawiska, gdzie i zająca pochwycą, uspionego w brzeżnych komeszach. Szczególnie młodzik zając, kryjący się w głębi szuwarów, trzcin i rogoży lub bujnej trawy, staje się pastwą lisa, który go zwietrzy i w miejscu udusi. Również ptactwo mniejsze, nieodlatujące na zimę, osobliwie potrzeszcze, sikory, szczygły, dążą na stawy i błota, gdzie rośnie psianka, glistnik, lechwar *(solanum dulcamare)*, której drobne jagódki pożerają Wie o tem lis przemądry, w nocy podkrada się pod ich gromady i dziesiątkuje je. Jak już wyżej rzekłem, lisy w zimie wynoszą się z górskich okolic i ciągną w świat po zdobycz. Z gór lub wzgórz podlwowskich, z lasów należących do Krzywczyc, Lesienic, gdzie mnóstwo znajduje się nor gniazdowych lisich, ciągną one na Zboiska, Laszeckie, Pruskie, Srokowskie, Żydatyckie, Kamienopolskie, Podborzeckie, Barszczowickie, Biłki szlacheckiej i królewskiej pola, gdzie znajdują obfity żer. Przed laty pełno ich bywało na Laszeckiem, Srokowskiem, Kamienopolskiem, Pikułowieckiem i Barszczowskiem stawisku, porośniętych wysokiemi trzcinami i rogożami, które dziś już nie istnieją. Z lasów Winnickich, góry Romanowskiej, gór zwanych Woroniakami ciągną lisy na równiny Romanowa, Winniczek aż pod Gliniany, Złoczów ku Brodom. Z gór Sanockich jedna część lisów dąży w okolice Dobromila pod Przemyśl, Nowemiasto, Husaków, Sambor, podchodząc aż ku Dniestrowi na Kalinowskie i Koniuszeckie moczary Do tych miejsc ciągną też lisy z gór Samborskich od Staregomiasta i Turki. Pewna część lisów gór Sanockich wlecze się na tak zwane Sanockie Podole w okolice Rymanowa, Jaćmierza i Sanoka. Tak więc na zimę opuszczają lisy swe rodzinne góry, dążąc na równiny, lecz w Lutym poczyna się dziwne między nimi zamięszanie. Poczynają się pojawiać w parach, po trzy i cztery w jednem miejscu; dzieje się to w skutek wpływu zbliżającej się wiosny. Ciekające się lisice albo w towarzystwie samców wracają do nor rodzinnych, lub uniesione miłośnym szałem pędzą w dalekie strony, gdzie zaspokoiwszy popęd płciowy, pozostają, wydawszy na świat troje, czworo, czasem nawet więcej potomstwa. Co ona uczyni w następnej wiośnie, niewiadomo; albo wróci do dawnego lęgowiska, lub przyparta przez natrętnych zalotników, zapędzi się gdzieś w dalsze jeszcze strony. Takie są dzieje wędrówki lisów.

Obyczaje wydry są istotnie zadziwiające. Nie moją rzeczą opisywać szczegółowo tryb jej życia, uczynili to już mędrsi odemnie. Mam zamiar jedynie zwrócić uwagę czytelnika na jej wędrówki. Wiedzie ona prawdziwie koczownicze życie, nigdy nie łączy się w gromadę i nie pozostaje stale na miejscu. Samiec o tyle łączy się z samicą, o ile pociąga go ku niej pora wiosenna i popęd płciowy, zaspokoiwszy go, opuszcza ją i nie troszczy się o jej dalsze losy. Włóczą się osobno po rzekach i stawach. Gdy zbliża się czas pomiotu, wyszukuje samica odpowiedne miejsce w rozpadlinie skalnej, w norze, którą sama wygrzebuje pod mostkiem, rzuconym na moczarze, pod upustem drzewa, i tam rzuca najwięcej troje młodych i strzeże je do czasu, w którym już mogą same żerować, karmi je naprzód mlekiem swych sutek, następnie rybami, których im suty zapas do gniazda znosi. W miarę podrastania młodzieży coraz rzadziej odwidza je matka, wreszcie wcale porzuca. Młode osierocone, przez jakiś czas trzymają się razem, rozdziela je dopiero zima. Gruba warstwa śniegu pokryła wody, mrozem ścięte. Staw, rzeka czy jezioro, u których znajduje się rodzinne gniazdo wydrząt, nie ma ani kęp porosłych szuwarem, ani brzegów moczarnych z oparzeliskami, woda od brzegu do brzegu pokryta lodową skorupą i śniegiem, ani szparki nie ma, którąby się można dostać do wody i złowić rybę. Rozpacz ogarnia głodne wydry, bieda je trapi, a ona zwykle rozprzęga związki rodzinne. Więc wydrzęta rozchodzą się w świat — za chlebem. Wydry w ogóle z natury już skłonne do wędrówek; w lecie i w jesieni, gdy znajdą staw, jezioro lub rzekę, obfitujące w ryby, zatrzymują się tam przez jakiś czas jedynie dla połowu, ale wnet znowu, lubo nie płoszone, dążą dalej i dalej. Zima pobudza je jeszcze bardziej do włóczęgi, głównie w celu szukania żeru. Najtwardszym jest żywot wydr w okolicach górskich, gdy bowiem rzeki i potoki pokryją się lodem, wobec ostrego klimatu znika wszelka możność wyżywienia się. Ileż to więc wydra musi ubieżeć mil w jednej nocy, nim znajdzie jaką rozpadlinę w lodzie i ułowi rybę, których tak mało w górskich wodach. Na dowód popędu do wędrówki u wydr, przytoczę przykład z własnego doświadczenia. Gdym przebywał w górach Sanockich, wyśledził pewien wieśniak z Krywego w późnej jesieni wydrę, w ciągu kilku dni z jednej nory nad brzegiem potoku wymykającą, nastawił więc na nią lisie żelazo. Nazajutrz ze świtem podchodzi do niego i znajduje samołówkę opuszczoną, a w kabłąkach nader ostro się zamykających pół przedniej wydrzej łapy. Chłop na milowej prawie przestrzeni śledził wydrę mocno farbującą bezskutecznie. Na wiosnę tegoż roku poszedł ów chłop na jarmark do Leska, o 8 mil od Krywego oddalonego. Z powrotem wstąpił do mnie wraz z czterma gazdami, którzy poświadczyli, że chłop ze wsi, leżącej w pobliżu miasta Leska, nosił na sprzedaż skórkę wydry, którą tej zimy mocno wychudzoną, z odciętą nogą, zabił ością, łowiąc ryby na potoku. Zaiste, wytrwałość tego zwierzęcia godna podziwu.

Norki czyli kuny wodne, mieszkając nad wodami, żywią się w lecie drobnem ptactwem na błotach i stawach, lub drobną rybką, w zimie zaś chwytają sprytnie, bez zanurzania się, drobne rybki, a przeważnie piskorze. I one w braku żeru robią nieraz dalekie wycieczki. Nieraz zdarza się znaleźć drobniutkie tropy od brzegów wód w pole wiodące — to tropy norków, które w dalsze ruszyły strony po żer.

Gronostaj, stały mieszkaniec północy, czasem i u nas się znajduje. W roku 1851 zastrzeliłem prawdziwego grono-

staja na stawisku Kamienopolskiem; za skórkę zapłacił mi kuśnierz Armatys we Lwowie 3 złr.

Tych kilka, może mylnych uwag, rzucam w kwestyi wędrówek zwierząt czworonożnych z prośbą do łaskawego czytelnika, by moje błędne mniemania sprostował i swoje w tym względzie spostrzeżenia w „Łowcu“ ogłosił.

KORESPONDENCYE.

Lisowice 31. Października.

Dnia dzisiejszego ukończyliśmy tegoroczne jesienne polowanie w Lisowicach, trwające dni 8. Ubiliśmy: niedźwiedzia 1, dzików 13, rogaczy 4, zajęcy 28, lisów 21, jarząbków 18, słonek 5, sów uralskich 8, jastrzębia gołębiarza 1, razem 99 sztuk. Tak świetny w tym roku wynik polowania przypisać należy po części wzrastającemu z każdym rokiem stanowi zwierzyny, po części pięknej pogodzie, która nam, z przerwą jednego dnia, sprzyjała, a wreszcie i tej okoliczności, że gruby zwierz nie mając tego roku w głębokich górach ulubionego swego żeru bukwy i żołędzi, schodził za pożywieniem w niższe okolice, w których to rewirach właśnie polowaliśmy tej jesieni. Małą stosunkowo ilość ubitych rogaczy wytłumaczy sobie myśliwy z łatwością, wziąwszy na uwagę, że mając codzień prawie otropionego niedźwiedzia, braliśmy prawie wyłącznie mioty, w których się można było spodziewać grubego zwierza, nie zważając na drobną zwierzynę i przepuszczając często bez strzału lisy, kozły i zające. Zresztą sarny w nieprzebytych gąszczach Lisowickich borów, pomimo wzorowego manewrowania obławy, często przystanąwszy na chwilę, wynosiły się niepostrzeżone w tył. Usiłowania nasze uwieńczone zostały dnia wczorajszego ostatecznym rezultatem i niedźwiedź padł od kuli hr. Kaźmirza Wodzickiego. Jest to duża niedźwiedzica, prawie czarna, włosem srebrzystym zrzadka okryta. W żołądku tejże znaleźliśmy oprócz żołędzi i bukwy, także znaczną ilość orzechów laskowych, które niedźwiedź, jako prawdziwy smakosz, pożera, odrzuciwszy poprzednio łupinę. Ciekawą okoliczność podnieść należy, jak to często mylą pozory względem stanu sarn. Wypadło nam brać jeden miot, w którym strzelano raz do niedźwiedzia, po raz drugi w kierunku przeciwnym i po raz trzeci znowu w kierunku jak po raz pierwszy, i dopiero za trzecim razem wyszedł rogacz z kozą. Ponieważ przypuścić nie można, aby te sarny w tej chwili weszły były do miotu, gdyż flanki były silnie strzeżone, przeto jest to dowodem, że sarny przystają i pomimo pędzenia obławy, w miocie się zatrzymują. Zrobiliśmy także jedno spostrzeżenie, które może posłużyć za wskazówkę obrońcom lisiego plemienia i da miarę drapieżności i zuchwałości tego szkodnika myśliwskiego. W miocie, w którym już było padło kilkanaście strzałów, lis nieustraszony ani strzałami myśliwych, ani pogwizdywaniem nagonki, chwycił jarząbka i zaczął ze swoją zdobyczą uchodzić flanką i dopiero w skutek strzału strzelca hr. Leopolda Starzeńskiego upuścił jarząbka, którego podjęto. Tym razem wyrządził przysługę, ale podobno inny miał zamiar. Oprócz zabitego niedźwiedzia strzelano w tym roku jeszcze do jednego, innego przesuwającego się przez gąszcze widziano, lecz wymknął się bez strzału, o czwartym wreszcie mieliśmy od pastuchów wiadomość, że wszedł do miotu, ale przez myśliwych widzianym nie był. W ogóle w tym roku stan zwierzyny był nadzwyczaj wielki. Sarny widziano prawie w każdym miocie, dziki w niezwykłej ilości dodawały świetności łowom, jednego dnia widzieli myśliwi około 50 sztuk. Słonki dla spóźnionej pory zawiodły nasze oczekiwania. Śmiało można twierdzić, że takiem bogactwem, a szczególnie rozmaitością zwierza, jak Lisowicka, żadna inna knieja poszczycić się nie zdoła. Jednego dnia strzelano do niedźwiedzia, dzików, rogaczy, zajęcy, lisów, cietrzewi, jarząbków, słonek, sów uralskich i t. d., słowem do wszystkich rodzajów zwierzyny, która się w naszym kraju znajduje.

Zgromadzonych dnia 22. Października towarzyszy powitał Sekretarz następującym wierszem:

Witaj nam, witaj, Lisowicka kniejo,
Ty naszych marzeń skarbnico, nadziejo,
Ty naszych kniei rodzinnych wybranko,
Ty naszych łowów prastara kapłanko!
O jakżeś piękną, gdy w późnej jesieni
Liść twego drzewa lekko się rumieni,
I gdy powoli z szumiącego drzewa
Listek po listku jesienny wiatr zwiewa,
Lecz nim opadnie, na poły czerwony,
Błyszczy się w słońcu, jak gdyby złocony!
I tylko w dali jodły i modrzewie
Igrają z wiatrem przy lekkim powiewie.
O! jakżeś wtenczas dziwna, tajemnicza,
Najstarsza z kniei, a knieja dziewicza!
Gdzie pni nie tknęła kupiecka siekiera,
Gdzie przez gęstwiny oko nie przeziera,
Gdzie stoją dęby czarnym mchem obrosłe,
Dawnej przeszłości pomniki wyniosłe,
A wicher z burzą waląc pni ogromy,
By groźne wały wywraca je w złomy,
A dąb spadając, inne młode dęby
Łamiąc, druzgocąc, układa je w zręby!
Tak dzik spieniony, gdy go psiarnia trzyma,
Rzuca się, broni, kaleczy i zżyma,
Psa niebacznego ostrym kłem uderzy,
A wtem myśliwy przez gąszcze przybieży,
I z palnej broni śle mu celną kulę.
Wtedy odyniec, czując śmierci bóle,
Wali łbem o ziem, lecz jeszcze w skonaniu,
Jeszcze psy ścina w konwulsyjnem drganiu!
W takie to bory i takie dąbrowy
Dzisiaj nas siedmiu zjeżdża się na łowy;
Tutaj Lisowczyk tajnie zwierza śledzi,
Na rannej rosie bada trop niedźwiedzi,
A w czarnej debrze, przez gąszcze, w oddali
Ogromna postać odyńca się wali.
O! na sam widok królewskiego zwierza
Raźniej myśliwe mu serce uderza,
I oczy ogniem namiętnym jaśnieją,
Boś bardzo piękna, Lisowicka kniejo!

* * *

Minęła jesień — już łowy skończone,
Każdy w rodzinną odjeżdża już stronę,
Aż znów za kilka zbyt długich tygodni,
Wracają łowcy świeżych łupów głodni,

Znów inne szaty bierze Lisowica:
Chociaż zmienione, lecz te same lica,
A swój majestat strojąc śnieżną szatą,
Bardziej.ci piękną się zda i bogatą,
A na jej skroniach dyamentowe szrony
Pysznie ją zdobią w kształt srebrnej korony,
A w ręku dzierży lśniące z lodu berło,
A suknie spina zmarzłą rosy perłą!
Wtedy myśliwy, gdy wejdzie w te bory,
Widzi na śniegu niby różne wzory.
To tropy zwierza, po nich on dostrzega,
Gdzie zwierz żerował, a kędy oblega.
To już nie łowów jesiennych domysły,
Lecz znak widoczny, prawie pewnik ścisły!
Tędy odyniec bałował korytem,
Tam wilk przemykał parowem zakrytym,
Ówdzie ryś znowu mknął jedliną młodą,
Zwalniał, przystanął i obległ pod kłodą.
Nie szukaj tutaj modnych obyczajów,
Wszczepionych u nas z cudzoziemskich krajów,
Ani bażantów w jajach sprowadzanych,
A w zimie w kuchni za piecem chowanych,
Ni spotkasz setki zajęcy z zwierzyńca,
Lecz za to ujrzysz górskiego odyńca!
I tylko w górach od ludzi z daleka,
Dokąd od gwaru zwierz gruby ucieka,
Dawny obyczaj łowów przechowany,
I mgłą tajemną tak dziwnie owiany,
Że zda się, kiedy w tych borach polujesz,
To taki zachwyt, taką radość czujesz,
Jakbyś przeniesion gdzieś w odległe czasy,
Widział te łowy i widział te czasy,
Kiedy polując, wolnością szczęśliwi,
W lasach tych wiedli rej polscy myśliwi!
Gdy więc w twych borach dziś nasza drużyna,
Praojców kniejo, znów łowy zaczyna,
Żeś zachowała nam dawne zwyczaje,
Ja — druh najmłodszy — tu ci cześć oddaję!

Zygmunt Pietruski.

Z nad brzegów Pilicy, 11. Listopada.

Czytając sprawozdanie o tegorocznem polowaniu na ptaki w „Łowcu“, uważam je za długą elegię, zapowiedzianą nam artykułem wiosennym hr. Kaźmirza Wodzickiego. Toż samo okazało się i u nas. Wiosennego ciągu słonek, że tak powiem, nie było; wyjeżdżając prawie dnia każdego na ciąg wieczorny, widziałem przez całą wiosnę tylko dwie. Ulewy i burze gradowe, miejscami oberwanie się chmury i częste wylewy, sprowadziły i u nas klęskę na kuropatwy i przepiórki. W zeszłym roku do czterechset ubito kuropatw, w tym zaś roku dwieście zaledwo. Wiosna była mokra po tych wspomnianych burzach, gdy bagna nie wysychały, można było dobrze rokować o błotnem polowaniu. Artykuł wyżwspomniany hr. Kaźmirza Wodzickiego odjął nam wszelkie illuzye; pierwszy raz u nas widzieliśmy błota niewyschnięte, obfitujące w wodę, na których ptactwa prawie nie było; podobnego wypadku u nas i starzy myśliwi nawet nie pamiętają. Na łąkach, gdzie dziennie po dwa tuziny dubeltów i bekasów zabijałem, spotkałem w tym roku pięć sztuk tylko, z których dwa stare, a trzy młode. Nawet chruścieli i kurek, o których pisałem, iż były w zeszłym roku prawdziwą epidemią naszych błot, stosunkowo w tym roku było nie wiele. Jesienne za to i zimowe polowania bardziej obiecujące, sądząc z pierwszej próby w dzień św. Huberta w Chrząstowie, ubito bowiem 6 rogaczy, 30 zajęcy i cietrzewia, a strzelano tegoż dnia do piętnastu rogaczy. Jest to rezultat bardzo zadowalający przy uciążliwych naszych służebnościach i wojnie z wilkami i kłusownikami. Parę słów dodam o letniem polowaniu na wilki. U nas i u naszych sąsiadów każdy gajowy, pod utratą służby, ma rozkaz śledzenia wilczych gniazd; obowiązkiem jego jest odniesienie nowo narodzonych szczeniąt do dworu, skąd się urządza myśliwska wyprawa. Strzelcy rozstawiają się w bliskości gniazda, wtedy gajowy drażniąc szczenięta, zmusza je do pisku. Zwabiona krzykiem wilczyca niebawem nadbiega i zabitą bywa W tym roku u sąsiada naszego wilczyca oszczeniła się w życie o wiorstę od lasu; spostrzeżono się po niewczasie, gdy już matka z dziećmi do lasu powędrowała. Na zimowe polowania na wilki mamy trzywiorstowe sieci, tak że trzy strony rewiru obstawione niemi bywają. O ludzi na obławę nie trudno, na wilka chłop chętnie wychodzi, mając z nim niejeden rachunek do załatwienia, czy to o cielę, czy świnię, czy sobakę, owce, lub gęsi wreszcie. Próbowałem polować z sieciami na dziki. Dano mi znać, że jest ich pięć i to nie starych, lecz sporych warchlaków bez matki, poprzednio bowiem samura była zginęła. Zaległy w małym gąszczu tak, że dokoła mogłem sieciami obłożyć. Cieszyliśmy się, myśląc, że je żywcem weźmiemy, tak jak nieraz polując na wilki, udało nam się schwycić rogacza. Stanąwszy na stanowiskach, puściliśmy pieski, lecz niestety taksamo jak clown w cyrku przez papier, tak dziki przez nową trokówkę się przedarły, a zanim w pobliżu stojący ludzie z kijami mieli czas dobiedz, już przodem idący dzik jak machnął racicami i kłami, jakby kozikiem rozpruł dziurę w sieci, przez nią on i jego towarzysze uciekli. Skoro tylko padną pierwsze śniegi, wywleka się konia na ponętę. Na ten cel skupują się stare konie kaleki na jarmarkach okolicznych, albo po wsiach od chłopów, to też przeszło w zwyczaj u ludu, gdy jeden drugiemu konia przygania, mówi: „oddałbyś go na wilki“. Co kilka tygodni, zwykle przy świeżej ponowie, daje się wilkom świeżą ponętę. Dawniej, gdy w naszych lasach dzików nie było, zdarzało nam się truć wilki, a chociaż tym sposobem dwa tylko wilki padło, nie było to bezużytecznem, bo przy tej sposobności dużo ptaków drapieżnych, lisów i psów wałęsających się otruto. Otóż przed kilku laty rządcy majątku nieboszczyka mego brata stryjecznego poradziłem, ażeby po piśmiennem uwiadomieniu kancelaryi gminnej, konia zaprawionego trucizną, pod pozorem pojawienia się wilków, zawiózł do kniei i w porębie niedaleko od pól ornych położył. Nazajutrz po zawiezieniu konia dziewiętnaście psów, a między nimi swora ogarów i wyżlica, należąca do sąsiada, leżały martwe przy koniu. To piśmienne uwiadomienie w gminie złożone, chociaż go nikt nie czytał, ubezpieczało rządcę zupełnie od wszelkiej odpowiedzialności. Kto tylko w lesie dzików nie ma (bo dzik lubi kabaninę), a natomiast niedelikatnych sąsiadów i wiele psów włościańskich, wałęsających się za zwierzyną, to w ten sposób najtaniej i najpewniej tej biedy się pozbędzie. Sąsiadowi przy okazyi można oświadczyć, że się bardzo żałuje, iż jego psy padły ofiarą dla wilków przeznaczonej trucizny, ale że się nie przypuszczało, aby mogły do konia trafić tak daleko od domu i granicy. Obowiązkiem gajowego jest przekonać się co rano, czy wilki były u ścierwa, jeżeli się dostatecznie najadły, powinien idąc za ich tropem przekonać się, w jakim rewirze zaległy. Nasycone wilki śpią twardo, niekiedy do trzeciej godziny po południu (z wyjątkiem oktawy

przed i po Matce Boskiej Gromnicznej). Pamiętam obstąpiono raz rewir sieciami, ludzi było parę set, na dany sygnał zaczęli wszyscy krzyczeć, pomimo tego wilki się nie ruszyły, dopiero gdy dwóch ludzi przeszło w knieję, zbudzono śpiących.

Kłusownik, o którym pisałem w ostatniej korespondencyi, został w pierwszej instancyi w Kielcach skazany na trzy lata i pół w katorżne roboty, a na resztę życia na posilenie w Sybir. Zobaczymy, czyli równie dobrze do Michajła Iwanowicza (którego tak wzorowo nam opisał pan Czaplicki), będzie strzelał, jak u nas do ludzi. Jeżeli sprawa pójdzie do wyższej instancyi, jest nadzieja, że wyrok obostrzony będzie, ponieważ się okazały nowe dowody zbrodni.

Witołd hr. Potocki.

KRONIKA.

Z nad Wiaru.

Okolice nasze położone na granicy równin z górami, obfitujące w żyzne gleby, przerżnięte rzeką z brzegami porosłymi gęstą łoziną, nie pozbawione lasów, powinny być, jakby się zdawało, schronieniem licznej zwierzyny. Niestety tak nie jest, a myśliwy z żalem spogląda na puste pola i głuche dąbrowy, w których zając i rogacz wkrótce do rzadkości należeć będą. W tym roku późna wiosna jakoteż inne przyczyny przyczyniły się do wytępienia ostatnich niemal szczątków zwierzyny. Słyszymy tu wprawdzie o istnieniu Towarzystwa łowieckiego, ziemia Przemyska posiada gorliwego delegata, dochodzą nas głuche wieści o ustawach łowieckich, lecz to wszystko mało nas obchodzi, polujemy sobie z taką swobodą, jak gdyby nasz zakątek nie w środku cywilizowanej Europy, lecz gdzieś w dziewiczych lasach lub niezmierzonych preriach amerykańskich był położony. Począwszy od Niżankowic i Dobromila, aż w głąb Sanockiego podgórza, bije się kozy i kotne zające, wyłapują całe stada młodych kuropatw, a z jaj tychże wyprawiają sobie pastuchy lukullusowe biesiady. Znaczna liczba lisów, drapieżnego ptactwa, a co gorzej kłusowników, wspiera się wzajemnie, a co się zdoła wymknąć tej groźnej koalicyi, pada ofiarą myśliwstwa i psiarni pana T. Nie obwiniam go o osobisty udział w tem dziele zniszczenia, ale banda myśliwych p. T., złożona z kilkudziesięciu indywiduów, poluje kilka razy do roku wraz z nim, a przez cały rok bez niego. Pod tym względem panuje tu zupełna swoboda, a obszary dworskie nietylko nie starają się temu przeszkodzić, lecz same niejednokrotnie przekraczają ustawy łowieckie. Wolno tu każdemu chodzić ze strzelbą gdzie mu się podoba, wolno wiejskim pastuchom wybierać młode ptactwo i zające, wolno gajowym wybijać kozy na kuchnie dworskie, gdy właściciel obszaru dworskiego sam nie jest myśliwym. Okoliczne wsie, a szczególnie Niżankowice i pobliskie kolonie niemieckie dostarczają sporego kontyngensu kłusowniczego sportu. Żaden z nich nie troszczy się o taką drobnostkę, jak paszport na broń i pora polowania. Artysta od dratwy lub igły zarzuciwszy na plecy przedpotopową rusznicę, włóczy się całemi milami w niedzielę po stokach kameralnych lasów, wzdłuż brzegów Wiaru, po dworskich obszarach, wszędzie dogadza swej namiętności łowieckiej, wybijając wszystko, co się nadarzy. Nic im nie przeszkadza, żandarmerya zajęta kradzieżami, dwory gospodarstwem i polityką, to też kłusownictwo kwitnie, a jakie tego skutki, najlepszym dowodem, że ubiegłej zimy na polowaniu z nagonką w dziewięciu myśliwych i pięćdziesięciukilku chłopców, w 200-morgowym gęstym zapuście widziano dwa zające i zabito jednego jarząbka. Zaiste świetny rezultat — miła perspektywa na przyszłość. Jak wyżej rzekłem, okolica nasza dogodna dla mnożenia się zwierzyny, ale brak nam ochoty, brak energii i sprężystości w hamowaniu jej tępienia. W nadbrzeżnych łozinach Wiaru lęgną się dosyć obficie kuropatwy i są najlepiej ubezpieczone wobec myśliwego i jastrzębia; w łozinach tych roićby się mogły zające, do gęstych zapustów naszych przybywają corocznie na połóg kotne kozy, lecz jeżeli ujdą morderczego ołowiu, nie znajdując potrzebnego spokoju, w końcu już Sierpnia uchodzą dalej. W zapustach tych nierzadkim jest jarząbek, nieraz nawidzają je także dziki, lecz zwierzyna ta nie długo się u nas zatrzymuje, bo wnet ją kłusownik wytropi i ubije lub wypłoszy. Na Wiarze lub na stawach siadają dosyć często kaczki, słowem nie brak u nas rozmaitych gatunków zwierza, lecz niestety bywa go zwykle, jak w arce, ledwie po parze. Co do przelotnego ptactwa: dubeltów, kszyków, przepiórek, chruścieli, to te kryjąc swe gniazda w zbożach lub niedostępnych miejscach, mniej są narażone na grozę wyniszczenia, ale w tym roku późna wiosna i wylewy srodze im zaszkodziły. Szczególnie ucierpiały kuropatwy, tak, że przy otwarciu polowania z wyżłem, jeszcze biegające piechotą stada znaleść było można. Przepiórek, jak wszędzie, było bardzo mało i to niedorostków, nie więcej też zajęcy, bekasów prawie wcale nie było, kaczek w średniej liczbie, ale zato derkaczów mnóstwo ku wielkiemu utrapieniu myśliwych, bo pies gubiąc ślad rzadkich kuropatw i przepiórek, włóczył się zwykle za uciekającym chruścielem. — Oto stan rzeczy w naszej okolicy, oto fakta, które zniewoliły mnie do oddania ich pod sąd myśliwych. Toż samo dałoby się powiedzieć o gospodarstwie rybnem. Kłusownik ze strzelbą i z siecią prowadzi zapamiętale dzieło zniszczenia, usiłowania pojedyńczych osób nie zaradzą złemu, a jeżeli Towarzystwo łowieckie nie weźmie naszej okolicy energicznie w swoją opiekę, to wkrótce po rogaczu i zającu zostanie u nas tylko wspomnienie.

A. P.

P. R. Zwracamy uwagę sz. delegata na ową korespondencyę i prosimy go o wyrzeczenie swego zdania w tej mierze.

Jezierzany 8. Listopada.

Zeszłego roku dowiedziałem się, że już w Listopadzie i Grudniu sprzedawano na każdym targu tygodniowym w Monasterzyskach dość znaczną ilość zajęcy, częścią strzelanych, częścią na sidełka łapanych. Gdy w dodatku zabiłem we własnym lesie zająca z drucianą kluczką na szyi, która pochodziła od zerwanego sidełka, nakazałem straży leśnej szukać pilnie, gdzieby te sidełka zastawiano. Znaleziono takie sidełka na ogrodzie Feliksa Szajny, tuż koło stodoły, którego obejście i ogród przytyka do mego lasu w Bertnikach. Zaskarżyłem go do Starostwa, które skazało go na grzywnę 25 złr. lub pięciodniowy areszt. Przeciw temu wyrokowi rekurował oskarzony do Namiestnictwa i otrzymał orzeczenie z dnia 22. Października do l. 12.622, które tu w odpisie przyłączam i o przedrukowanie proszę. „Do Feliksa Szajny w Bertnikach. Wysokie c. k. Namiestnictwo uwzględniając rekurs Feliksa Szajny z Jezierzan przeciw orzeczeniu c. k. Starostwa z dnia 21./9. r. b. l. 3915, którem skazano rekurenta za przekroczenie §. 2. ustawy z dnia 30. stycznia 1875, D. u. k. Nr. 1, popełnione przez zastawianie sideł na zające, w myśl §. 5. tejże ustawy na grzywnę 25 złr., ewentualnie karę aresztu pięciodniowego, dalej na ponoszenie kosztów postępowania karnego i na utratę zabranych sideł, uchyliło to orzeczenie dla braku dowodu winy rekurenta, gdyż nie przydybano go na uczynku, a okoliczność, iż sidła znaleziono w ogrodzie jego, nie stanowi jeszcze dowodu winy w kierunku przekroczenia mu zarzuconego. O czem go w skutek reskryptu Wys. c. k. Namiestnictwa z dnia 22/10 r. b. l. 59.696 zawiadamiam. Buczacz 2/11 1883. C. k. Starosta.“ — Pozwalam sobie za pośrednictwem „Łowca“ prosić Wydział Tow. łow., lub gdyby ten nie był w możności, kogoś z najdoświadczeńszych, najrozumniejszych, najsprytniejszych kolegów moich o radę, w jaki sposób man postąpić, jeżeli znów znajdę zastawione sidełka na obejściu chłopskiem, ażeby dać Namiestnictwu „dowód w kierunku przekroczenia mu zarzuconego“. Zdaje się, że Namiestnictwo żąda, aby w obecności mojej lub straży mojej zając się złapał, lecz i to nie wystarcza, trzeba jeszcze, żeby złodziej w obecności mojej lub mojej straży zająca z sidełek wyjął i do komory zaniósł. Otóż mój słaby rozum podaje mi tylko dwa środki na to. 1. Zażyć jakiś elixyr cudowny, po którego zażyciu stałbym się niewidzialnym, takiego nie posiadam, a jeżeliby taki egzystował, proszę o receptę, zdałby mi się i na inne wypadki. 2. Zapłacić grubo chłopowi, aby tę całą manipulacyę przedsięwziął w mojej obecności, ale ten środek nie opłaciłby się i mógłby posłużyć chyba na zachętę, nie za przykład odstraszający. Jeżeli kto znajdzie jaki trzeci sposób, raczy mi go udzielić wprost albo za pośrednictwem „Łowca“. Pozwalam sobie także prosić Wydział Tow. łow. aby zechciał odnieść się do Namiestnictwa z żądaniem, by c. k. Namiestnictwo zechciało albo pouczyć nas, w jaki sposób w podobnym wypadku mamy dowód winy dostarczyć, lub inaczej ustawę z dnia 30. Stycznia 1875 interpretować i zastosowywać.

Stanisław Matkowski.

Z Bołszowca 13. Listopada.

Na polowaniu w Żurawienku dnia 6. Listopada strzelał p. Gorajski z Kunaszowa do dzika raz jeden z Teschnerówki śrótowej kal. 12 z odległości 60 kroków w chwili, gdy dzik go już pominął. Zaraz po nim strzelił p. Sahajdakowski z Czahrowa do tegoż dzika dwa razy (kulą kal. 20 i śrótem kal. 16) jak utrzymuje, na kroków 30, w prawy połeć. Do drugiej sztuki padł znowu jeden strzał p. Lekczyńskiego na dalszą odległość. Obie sztuki uszły pędem strzału, na co z żalem patrzałem. „A co — rzekłem — poszły dziki!“ Na to p. Gorajski zapewnił mnie, że dobrze mierzył do dzika krótkim galopkiem idącego, p. Sahajdakowski zaś twierdził, że lubo dzik po strzale uszedł w szalonym pędzie, ma oba jego strzały w sobie i niezawodnie padnie, jakoż istotnie w oddaleniu stukilkudziesięciu kroków znaleziono maciorę. Opatrując tę piękną sztukę, dostrzegliśmy z lewego boku (p. G.), prawie w środku korpusu, otwór od dużej kuli, słoniną zasłonięty, bez krwi, z prawej zaś strony (p. S.) poniżej przedniej łopatki czarną, spiekłą farbę, którą cała przestrzeń była zalana. „Oto moje dwa strzały“ — rzecze p. Sahajdakowski, p. Gorajski zaś utrzymywał, że to jego kula tamtędy wyjść mogła. Twierdzenie pierwszego nie zdawało mi się być prawdopodobnem, gdyż strzał z bliska, niski, kulą, powinien był przeszyć na wylot, a argument, że kula z przodu pod przednią łopatkę wpadłszy, wyszła bokiem przeciwnej strony i to w środku korpusu, nie był prawdopodobnym, boby dzik musiał być prawie na sztych i to z dołu strzelanym. Gdy więc nie można było stanowczo tej wątpliwości rozstrzygnąć, przyrzekłem po dokładnem badaniu rezultat w „Łowcu“ ogłosić. Oświadczam więc, że dzik należy się p. Gorajskiemu. Kula jego trafiwszy w bok, wyszła pod prawą, przednią łopatką, z przeciwnej strony, bo był strzelany ukośnie, a że niżej wyszła, jak wpadła, da się tem usprawiedliwić, że zwierz w galopie wznosi swój przód, a kula opór znajdując, bierze zawsze kierunek niżej, nie wyżej. Farba świadczy, że kula tamtędy wyszła. P. Sahajdakowski chybił obydwoma nabojami, żadnego znaku nawet śrótu nie było.

Ezechiel Berzewiczy.

Berehy 27. Października.

W skutek polecenia c. k. Dyrekcyi lasów i domen z d. 12. b. m. l. 10.865, zbadałem bliższe szczegóły, dotyczące ubicia rysia przez włościanina Wilhelma Schneka w Bandrowie, i donoszę co następuje. Dnia 3. b. m. około godziny 2giej po południu zobaczyli włościanie kolonii Bandrow na polach obok domostw tej kolonii rysia. Nie wiedząc, jakie to zwierzę, obstąpili go i pędzili do zagrod. Ryś widząc się otoczonym, wpadł w płot, przez który jednak przecisnąć się nie mógł. Najodważniejszy z włościan Wilhelm Schnek siadł na niego jak na konia i chciał go żywcem ująć, ale ryś po gwałtownem szamotaniu się wydobył się z płota i ukąsił Schneka w nogę. Mimo bolu nie puścił go Schnek i dusił za szyję. Nadbiegli wreszcie koloniści i ubili rysia siekierami i pałkami. Była to stara rysica, silnie zbudowana, dobrze wykarmiona i zupełnie zdrowa, trudno więc zrozumieć, dlaczego zbliżyła się ku wsi i dała się osaczyć. W jesieni często ją pastuchy w polu, w owsie widywali.

C. k. nadleśniczy.

Z nad Sanu.

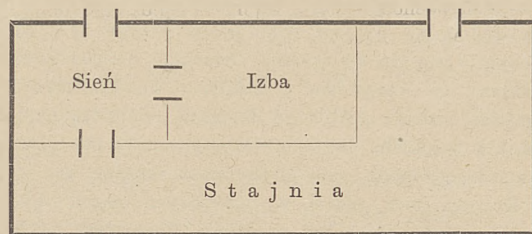
Kalendarzowe przysłowie mówi. „Około św. Urszuli (21. Paźdz.), spodziewaj się śnieżnej koszuli, a gdy miną wszyscy święci, już po niebie śnieg się kręci.“ Na św. Urszulę w istocie pokrywają się zwykle śniegiem szczyty naszych gór, ale nie właściwych Beskidów, które znacznie wcześniej się zaśnieżają. W tym roku lśniły się srebrzysto czubałki naszych gór na św. Urszulę, ale nie od śniegu, lecz od silnego przymrozku, który sfolgował około południa. Jest więc nadzieja, że właściwa zima nie tak prędko jeszcze do nas zawita. Jednakowoż wszystkie złe czy dobrze prognostyki zwykły zawodzić, bo „nieba ni łokciem przemierzyć, ni palcem dotknąć“, więc raczej patrzmy po ziemi, po zwierzętach naszych czworonożnych i skrzydlatych, one to nieustannie przebywając na wolnem powietrzu, stały się barometrem, przepowiadającym wszelkie zmiany powietrza. Lecz każdy patrzy i wierzy po swojemu, *quot capita, tot sensus,* otóż ja mam pełną otuchę, że nie prędko jeszcze będziemy mieli zimę. Wielokrotnie przekonałem się, że lisy, których dość w naszych górach, niepokoją się na parę tygodni przed śniegiem, wynoszą się do was na doły, nad brzegi dolnego Sanu, Strwiąża i Dniestru, na żaby i myszy, których pełno u was na łąkach i ścierniach. Otóż do tej chwili jeszcze nie ruszyły, co uczyniły w przeszłym roku już w pierwszej połowie Października. Chowałem lisa od malutkiego szczeniątka, żeby nie uciekł, trzymałem go na łańcuszku, a mimo tego udawało mu się niekiedy udusić kurę lub kapłona, niebacznie zbliżające się ku jego budce, za którą wygrzebał sobie lis norę. Puściłem go wreszcie na wolność, okręciwszy mu szyję drutem mosiężnym. Ktoby się spotkał z owym przezemnie wyzwolonym lisem, raczy dać wiadomość o tem w „Łowcu“, bo radbym wiedzieć, jak daleko zapędzają się, osobliwie w porze cieczki, lisy samcy.

L.

Perehińsko, 26. Października 1883.

Wypadek morderstwa, przez niedźwiedzia spełniony, pozwalam sobie przesłać sz. Redakcyi.

W tutejszej gminie górskiej utrzymują zamożniejsi gospodarze przy sprzyjającej pogodzie jesiennej swe bydło i owce na odległych sianożęciach jeszcze w koszarach; a niektórzy dla oszczędzenia zwózki siana porą zimową, tak w obecnej porze jak w zimie w tak zwanych zimowlach. Jedną taką zimowlę posiada tutejszy gospodarz Fedor Czerpak w niwie Radiwka, odległą od wsi $1\frac{1}{2}$ godziny pochodu, gdzie obecnie znajdowało się bydło i owce trzech gospodarzy: wymienionego właściciela, jakoteż Ilka Sorochmanna i Fedora Kocana, którą trzodę strzegli synowie ich Michał Czerpak, Nykoła Sorochmann i Pawło Kocan, dorośli parobcy 20—25-letni. Budynek zimowli składa się z następnych części:



W nocy z 24. na 25. bm. było bydło i barany zapędzone do sieni i stajni. Tejże nocy obudził ze snu tych trzech pastuchów łoskot wyłamanych drzwi do sieni i ryk bydła. Domyślając się zaraz przy ocknieniu, że to napad niedźwiedzia, zerwali się, pochwycili głownie, drągi i wybiegli do sieni, gdzie spostrzegli przy blasku światła jarzącego się w izbie ognia niedźwiedzia na ubitym ciołku, wpadli więc razem na niego. Pierwszego, który się zbliżył i głownią uderzył, Nykołę Sorochmana, pochwycił niedźwiedź za kark i tak silnie rzucił o ścianę, że z roztrzaskaną głową padł bez życia na ziemię. Drugi chłopak, Michał Czerpak, dążąc na pomoc pierwszemu, palnął borutę głownią po łbie, zwierz już rozsrożony porwał go za rękę, powalił i roztrzaskał mu klatkę piersiową, chłopak bronił się drugą ręką i nogami, które również zwierz srodze pokaleczył, tym sposobem w okropnych męczarniach życie zakończył. Trzeci parobczak, Pawło Kocan, usiłował Michała bronić i zadał niedźwiedziowi kilka uderzeń drągiem, a gdy okropnie pokaleczony Michał krzyknął nań: „uciekaj, bo i tobie tak będzie jak mnie“, poskoczył na strych, ale w tejże chwili palnął go niedźwiedź po plecach, poczem zwrócił się i dobił już nieprzytomnego Michała. Ubił jeszcze w tej wściekłości kilka baranów, ale ich nie żarł i wkrótce potem pomrukując uszedł, jak gdyby czuł całą zgrozę popełnionej zbrodni. Uszedł pod osłoną nocy w bezpieczne górskie knieje. Parobczak Pawło, który salwował życie ucieczką na strych, ochłonąwszy z przerażenia, gdy był pewny, że niedźwiedzia już nie ma, spuścił się do sieni, zatarasował drzwi, rozniecił ogień i poznosił swych nieszczęśliwych towarzyszów do izby. Z brzaskiem dnia wybrał się do wsi w celu uwiadomienia rodzin o tym strasznym wypadku. W pół drogi spotkał Fedora Czerpaka, dążącego właśnie do zimowli w odwidziny, nieprzeczuwającego męczeńskiej śmierci swego syna. Tego samego dnia sprowadzono ciała pomordowanych w asystencyi księdza z procesyą do rodzicielskich domów, a dziś ich przyjęła ziemia na wieczny odpoczynek. Szczegóły wypadku podał ocalony Pawło. Według jego opowiadania miał to być niedźwiedź ogromnych rozmiarów, z łapami nadzwyczajnej grubości, barwy siwej. Wedle opowiadań pastuchów innych koszar, próbował ten niedźwiedź w swym pochodzie nocnym napadu na koszary położone na Hołowence, Wołkanie, $\frac{1}{2}$ do $\frac{3}{4}$ godziny chodu jedna od drugiej, a od zimowli wyżej opisanej odległe, ale odpędzono go strzałami, w trzeciej, na krańcu położonej, w której właśnie przed niedawnym czasem żandarmerya znalezioną strzelbę skonfiskowała, powetował niefortunną próbę. Straszny ten wypadek nasuwa pytanie: czy nie należałoby pastuchom przy trzodach w górach, gdzie zwierz drapieżny takowe nawidza, udzielać pozwolenia do trzymania strzelb dla ochrony osobistej jakoteż bydła, zwłaszcza że właściciele polowania nie pozwalają pastuchom mieć przy sobie psy w celu ochrony bydła. W okresie mego życia myśliwskiego byłem uczestnikiem lub świadkiem różnych wypadków, dla biorących w nich udział, mniej lub więcej groźnych, ale działo się to na polowaniu, a nigdy z tak przerażającym rezultatem. Podobny wypadek z pa-

stuchem, z którego wszakże nie śmierć, lecz długotrwała choroba wynikła, wydarzył się przed 30 laty w Jasieniu, lecz nie chcę już nużyć czytelnika opisem jego. Chociaż jestem starym i wytrawnym myśliwym, co moi przyjaciele Edward Weigel, Emil Hołowkiewicz ze Lwowa niezawodnie raczą potwierdzić, nie posiadam przywary opowiadania nieprawdziwych zdarzeń, proszę więc o wiarę dla powyższego opisu.

Przy tej sposobności nadmienię o tegorocznej rui jeleni w lasach rzeki Łomnicy i jej dopływach, należących do Perehińska i Jasienia. Rykowisko rozpoczęło się koło 10. Września, w tym dniu bowiem obchodząc w towarzystwie dwóch ludzi lasy położone na strumieniu Darów od godziny 10tej rano do 1szej z południa i na godzinę przed zachodem słońca, słyszałem poryki jeleni, nieprzeciągłe jeszcze, lecz w przerwach; znachodziłem miejsca wydeptane przy staczanych bojach i uganianiu za łaniami. Od tego dnia aż do 12. Października obchodziłem w czasie prawie trwałej pogody knieje Perchińska, rozlegające się w Pietrosach, Popadji, Kaniuszukach, Grofy, Konia grafeckiego, Czarnej rzeczki, Mołody, Jajka, Emszany i t. d., około 30.000 morgów, zachwycałem się codziennie rykiem, widokiem jeleni, ich walką i igrzyskami, ale nie mogłem żądzy myśliwskiej choćby jednym strzałem zaspokoić, bo odbywałem ten pochód leśny z kijem w ręku, nie mając prawa polowania. Do 12. Października więc, po spadłych w górach 8go śniegach, odbywały jelenie od godziny 9tej rano do 1szej z południa i wieczorem rykowiska jeszcze z wielkim zapałem, z przeciągłym rykiem i uganianiem, z czego wnoszę, że trwało rykowisko po 12. Październiku co najmniej jeszcze kilka dni, zatem rozciągała się ruja tegoroczna na 5 do 6 tygodni. Stan tej wspaniałej zwierzyny w lasach Perehińskich jest znakomity, liczy niezawodnie kilkaset sztuk, a mają jelenie swoje ostoje aż w kniejach podgórskich, każdego dnia w jednej i tej samej chwili, w kotlinie któregobądź strumienia. Słyszałem ryki odmiennych głosów kilkunastu jeleni na różnych miejscach, wszędzie napotyka się wydeptane ścieżki, jakby od pędzonego bydła, miejsca igrzysk i tym podobne oznaki licznego stanu tej zwierzyny. Kłusownika tu prawie nie mamy, tylko od granicy zachodzą węgierscy kłusownicy, czemu nieliczna straż leśna, złożona z trzech ludzi, na tak ogromnych obszarach zapobiedz nie zdoła.

Kaźmirz Rozwadowski.

Ławcze 27. Października.

Dnia 17. b. m. odbyło się w Soroce, majątku hr. Leonarda Pinińskiego, polowanie w kniei. W 10 strzelb ubiliśmy w przeciągu dwóch godzin w lasku 300-morgowym 47 zajęcy, 2 kozły i 3 lisy. Piękny ten rezultat zawdzięczyć należy p. Aleksandrowi hr. Pinińskiemu, który szanując polowanie, tępiąc kłusownictwo, zwierzostan do świetnego stanu doprowadził.

A. S.

Wasylówka (Ukraina) Październik.

Jako przestrogę dla zapalonych amatorów błotnego polowania, żeby z całą ostrożnością wstępowali na błota nieznajome, podaję fakt, który mnie samemu się wydarzył. Spolowawszy bliskie swe błota, zrobiłem wycieczkę dalszą o wiorst 15 do miejscowości, gdzie myśliwi chyba w czasie wielkiej posuchy polować mogą. Ruda ta leży w wąwozie głębokim, między górami, śród stepów, i nosi nazwę Bateryi. Ponieważ rok ten był istotnie posusznym, obiecywałem sobie pomyślnego sukcesu. Myśliwskim powozikiem, zaprzężonym w jednego konia, z małym chłopakiem jako woźnicą, ruszyłem na tę wyprawę. Gdym przybył na miejsce, była godzina 10ta, więc niezbyt rano, dlatego coprędzej pospieszyłem na błoto, a chłopakowi nakazałem pozostać na miejscu, zamierzyłem bowiem obejść rudę w koło i wrócić do powozu. Na przestrzeni może wiorstowej nie strzeliłem ani razu, wreszcie staje psisko moje poczciwe do kszyka na środku rudy, strzelam, kszyk leci i pada, pies go nie widział, ale ja dobrze zanotowałem sobie miejsce upadku w pamięci, więc wprost dążę do niego, lecz wolno i ostrożnie, bo wiedziałem, że w Bateryi nie wszędzie dojść można. Nareszcie spostrzegam leżącego kszyka, ale przystąpić do niego niepodobna, więc próbuję przysunąć go strzelbą do siebie, wtem czuję pod nogami przerywające się błoto, w przerażeniu porzucam kszyka, chwytam oburącz strzelbę, by w poprzek trzymana opór stawiła, a sam grzęznę coraz głębiej i czuję chłód zimnej wody, ogarniającej moje ciało. Wytężam siły w celu wydobycia się z topieli, lecz wnet znużenie mną owłada. Pies brodząc w koło mnie, wyje żałośnie, ja w rozpaczy, lubo nie widzę nikogo, silnym głosem przyzywam ratunku. Mija godzin parę, nikt się nie pojawia, a mnie siły opuszczają tak, że już prawie bezwładnie pogrążyć się mam w toń. Wtem spostrzegam jakiegoś chłopaka, pędzącego przed sobą konie, który zainteresowany wyciem psa i moim głosem, dąży ku mnie, a zbliżywszy się, woła: „Tutki nedawno kobyła naszoho popa utopyłaś, maje to buty i z wamy, tam dojty ne można. Dam znaty kosaram.“ — Dawaj znaty, proszu tebe, bo propadu.“ — Chłopak cwałem poskoczył, pozostawiając mnie zdrętwiałego z zimna i wysilenia, i ledwie w godzinę przywiódł dwóch kosarzy. Spostrzegłszy mnie zanurzonego niemal po uszy w błocie, prawią mi moralną naukę: „Za małoju ptaszkoju listy wam staromu na takoje bołoto, tož tu koniaku utopyły, tam czort ne dijde. No chłopci, wiażim kosy, dosztukujem pojasom i kinem, może wylizut.“ — „Ratujte lude, bijte sia Boha!“ wołam ochrypłym głosem, a gdy podrzucili, chwytam za kosiak, aż mi ręce zaklękły. Ciągną, trzymając pas w ręku. Pies na nich ujada. Wtem zjawia się jakaś baba z ośmioletnim chłopakiem, przyłączają się do roboty i wreszcie z wielkim trudem wyciągają mnie aż do brzegu, chociaż w połowie tej drogi mogłem był stanąć na nogi, ale nie dowierzałem niegodziwej Bateryi, dokąd na suchszym nie stanąłem gruncie. Znużony, zziębnięty, ruszam do powozu, a po drodze słuchać muszę morałów moich wybawców. Oddawszy im grosz, jaki miałem przy sobie, i podziękowawszy, niezawodnie bardzo serdecznie, za ratunek, siadłem zbłocony jak dyabeł piński do powozu i ruszyłem corychlej do domu, gdzie opowiedziałem niezwykłą a nader groźną przygodę moją, której też przez „Łowca“ czytelnikom udzielam. Strzelbę i kszyka wyniósł z błota lekki jak bekas ów ośmioletni malec. Przygoda ta chwała Bogu nie zaszkodziła zdrowiu, wcale nie ostudziła zapału myśliwskiego i nie ręczę, czybym przy zdarzonej sposobności na nowe tego rodzaju wydarzenie narazić się nie potrafił.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

---

15. Listopada.

Posiadam psa rasy angielskiej „pointer“, obecnie liczącego 11ty miesiąc, z którym polowałem już od Lipca z największem zadowoleniem ze służby, jaką pełnił, mimo że prócz warowania żadnej innej dresury domowej nie otrzymał. Wprowadzony na pole zachowywał się tak, jakby nie pierwszą przeżył wiosnę i wtedy już mógł rywalizować z niejednym psem legawym. Nietrudno pojąć, że położyłem w nim wielkie nadzieje, do których spełnienia „Rigo“ mój postępowaniem dotychczasowem szybkim postępował krokiem. Po jednem błotnem polowaniu, gdzie deszcz przemoczył mnie zupełnie, pies, pomimo że po powrocie obtarłem go na sucho i przykryłem ciepło, zaczął lekko pokaszliwać. Sądząc, że to kaszel zwykły, powstały z zaziębienia, nie wielką wagę doń przywiązywałem, lecz ojciec zrobił mnie uważnym, że nosacizna kaszlem pierwszy swój rozwój objawia i że obawia się, by i w tym wypadku doświadczenie jego się nie sprawdziło. Przeraziło mnie to i postanowiłem nie odstępować mego chorego towarzysza i bacznie śledzić zmiany w jego stanie. Po dwóch dniach objawił się jasny, później żółto-zielony szluz z nosa, oczy zakisły, pies stracił zupełnie apetyt. a nieprzyjemna woń gorączki zanieczyściła atmosferę pokoju. Nie miałem już wątpliwości najmniejszej, że nosacizna chce i mego przyjaciela dołączyć do swych niezliczonych ofiar, postanowiłem jednak jak najspieszniej wytoczyć jej walkę. Broń miałem w pigułkach „Bitnera“, które ojciec dawniej sprowadził, aby mieć pod ręką, gdy tego zajdzie potrzeba. Zadałem więc psu pół pigułki, na skutek nie czekałem długo, po kwadransie niespełna dostał pies tak silnych wymiotów, że byłem w obawie, czy zamiast pomódz, nie zaszkodziłem mu, bo z czczego żołądka nic więcej tylko pianę wyrzucił, w stosunku do możności oddania bardzo małym. Po paru godzinach uspokoił się pacyent i zdawało mi się, że o wiele mu lepiej. Dawałem mu więc codzień po pół pigułki, które mimo swych wydzielających skutków z wnętrza jego, choroby wydzielić nie mogły. Po sześciu dniach znalazłem psa prawie całkiem bezwładnego, otwory nosa gęstym, brunatno-zielonym szluzem zatkane, przystępu do oddechania nie miały, słabe charczenie tylko było objawem gasnącego życia. Nadziei jednak jeszcze nie straciłem. Zapisałem pigułki p. Hostońskiego. Pies był już w takim stanie, że zwątpiłem, czy zadaną pigułkę organizm jego zdoła doprowadzić do żołądka, aby jednak nie mieć sobie nic do zarzucenia, wlałem mu jedną pigułkę z łyżką mleka, a przekonawszy się, że przeszła przez gardło. zostawiłem go samego, by nie być świadkiem, jak mniemałem, jego końca. Po dwóch godzinach słabą kierowany nadzieją zbliżałem się do pokoju, w którym spodziewałem się zastać zwłoki mego towarzysza. Otwieram drzwi i w pierwszej chwili zdawało mi się, że śnię, uczułem bowiem łapy psa na mych ramionach, co zwykł był czynić na przewitanie, dłużej jednak nie mogłem się łudzić, gdyż pies skrobaniem do drzwi objawił że żyje i że kwestye żywotne nakazują mu pokój opuścić. Obfity szluz na miejscu gdzie leżał, świadczył o skutku cudownego tego lekarstwa. Po trzeciej pigułce powrócił pies do normalnego zdrowia, za co p. Hostońskiemu składam najszczersze podziękowanie.

A. Reichard Reichardsberg.

Drohomyśl 20. Listopada.

W czasie mojego pobytu na Ukrainie, dokąd się udałem na uprzejme zaproszenie hr. Władysława Branickiego, w porze polowań *par force* na lisy i zające, polowaliśmy także w Stawiszczach na wilki w lesie z nagonką, tutaj huczką zwaną. Z powodu spóźnionej już pory, bo wilki o tym czasie nie trzymają się już miejsc, gdzie się wylęgły, zabito na dwóch polowaniach tylko dwa wilki. Ze Stawiszcz pojechaliśmy w liczbie siedmiu myśliwych do Białocerkwi na polowanie, o jakiem u nas tylko starzy myśliwi opowiadać mogą. Mając 90 wiorst drogi do lasu, o 5tej rano siedzieliśmy już w powozach i dzięki szybkości rozgonnych czwórek stanęliśmy o godzinie 11tej w leśniczówce rewiru Woronieckiego, zatrzymawszy się godzinę w Białocerkwi, gdzie nas z całą gościnnością podejmował p. Nowicki, pełnomocnik nieobecnego właściciela, a którego uprzejmości zawdzięczamy tak przyjemnie spędzony dzień ze strzelbą w ręku. Tu zastaliśmy wszystko w pogotowiu. Około 400 morgów lasu sieciami zamkniętego. Ażeby zwierz ich nie przebił, stał co 20 kroków chłop z kijem w ręku. Naczelne dowództwo objął prezes naszego Towarzystwa łowieckiego, hr. Roman Potocki, a odebrawszy raport, dał rozporządzenie do zaczęcia łowów. Myśliwych rozstawiono na dwóch liniach, przez szerokość lasu przeciętych, i wkrótce odezwała się urocza muzyka 20 doskonałych ogarów, przerywana licznymi strzałami i częstym odgłosem trąbki dzielnego dojeżdżacza. Po dwóch godzinach wszystko było skończone. Trzy wilki, lis i zając biedny były naszą zdobyczą. Hr. Józef Potocki celnym strzałem w głowę powalił na miejscu starą wilczycę. Stanisław Rembieliński znany podróżnik i myśliwy we wszystkich częściach świata, zabił ogromnego wilka. Na trzeciego podobno kilku składało się myśliwych. Przed mojem przybyciem w te strony ubito na jednem polowaniu z sieciami w lasach hr. Branickiego dziewięć wilków.

J. Skarbek Borowski.

Na wyjezdnem do Drezna na konferencyę międzynarodową, dziękuję za przysłany mi kalendarz. Z powrotem napiszę i ogłoszę recenzyę jego. Winszuję „Łowcowi" tego kalendarza.

Dr. M. Nowicki.

Jury wystawy międzynarodowej rybackiej w Londynie przyznała Drowi Maks. Nowickiemu, prezesowi Towarzystwa rybackiego w Krakowie, medal srebrny za jego mapę rozsiedlenia ryb w rzekach galicyjskich.

INSERATY.

Redaktor: Józef Łoziński.

Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.